Sportowy 24
KYLIAN MBAPPE ZNÓW IDZIE NA KRÓLA STRZELCÓW, A TRÓJKOLOROWI SĄ GŁÓWNYM FAWORYTEM MUNDIALU

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

PONIEDZIAŁEK, 6.07.2026
NR 54 (2565)
CENA 6,00 ZŁ (W TYM 8% VAT)
INFORMACJE Z KRAJU I ZE ŚWIATA **WWW.I.PL**



s.4
Ultimatum premiera Tuska
w sprawie systemowych zmian w służbie zdrowia po aferze w Szpitalu Południowym

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

s.6–7
Zgrillowani i ugotowani po fali upałów.
– Zmiana klimatu nie jest już odległą prognozą, lecz realnym doświadczeniem – mówi prof. Zbigniew Zwoliński

s.10–11
Anfrea Tornielli, wybitny watykanista:
Schizma abp. Lefebvre'a powraca po 38 latach. Wbrew woli papieża Bractwo Kapłańskie ponownie odłącza się od Rzymu



FOT. PAP/EPA

s.3
Nawet ostrzeżenia przed burzą
nie przeszkodziły tysiącom Amerykanów świętować 250-lecia powstania Stanów Zjednoczonych

NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

eprasa.pl df8e3d5e19

Polska
Poniedziałek, 6.07.2026

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek
magazyn Puls

Rosja publikuje archiwalne dokumenty, by podsycać konflikt polsko-ukraiński tuż przed kolejną rocznicą zbrodni na Wołyniu

Tadeusz Płatek
publicysta



ARCHITEKTURA 2000

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Siedziałem na krawężniku ulicy Kątowej i zastanawiałem się jakie będą budynki w roku 2000. Jak wczoraj, ale jednak dawno to było tak bardzo, że dzieci siedzieć mogły na krawężnikach i obserwować wodę z pianą leniwie spływającą rynsztokiem, po tym, jak zlała się z poloneza sąsiada, człowieka dla którego cotygodniowe mycie auta przed domem, było w zasadzie racją bytu. Krawężnik to było ciekawe miejsce - jego popękana, wyżarta przez lata struktura odsłaniała tzw. pospółkę, czasem zardzewiałe pręty zbrojeniowe, a skrajnia chodnika nie była równa, tylko krzywa jak diabli, podobnie jak rozpływająca się w słońcu nieuregulowana rzeczka asfaltu, który przez swoje smołowe dziadostwo i nie tylko nosił pieczątki wbite przez opony, ale też pachniał wspaniale. Prawie tak pięknie, jak pobliskie PODKŁADY KOLEJOWE drewniane, nasączone kreozotem i gównem pasażerów.

Przede mną wtedy pusta ulica, za nią skrawek ziemi na którym graliśmy z kolegami w noże, chwaląc się swoimi nowymi finkami, scyzorykami, a od niedawna również sprężynowcami i motylkami.

Z mną kamienice, które dziś lśnią po remontach, wtedy jednak wrośnięte brudno w ufajdany sadzą krajobraz, wyglądały jakby nikt nie nie dbał przynajmniej od lat stu (choć w rzeczywistości miały lat, góra siedemdziesiąt).

MIAŁ nadejść rok 2000, ja zastanawiałem się ile z tych kamienic pójdzie pod stalową gruchę i ile w ich miejscu wyrośnie szklanych, inteligentych domów, w których wszystko będzie automatyczne i standardowo luksusowe.

Dziś w roku 2026 siedzę na innym krawężniku, choć modelowo, z tym sprzed 40 lat identycznym i patrzę na starzejące się owoce lat 2000. Na małe okienka, zaprawdę nie wiedzieć czemu mniejsze niż 100 lat temu. Na pastelozę, fantastyczne w założeniu szaleństwo, które dziś jedynie przygnębia. Na wszystkie zameczki patrzę, wieżyczki, lastrykowe klatki schodowe z niebieskimi poręczami, na świrujące detale metaloplastyczne, a OCZYMA duszy na zbyt małe pokoiki, zbyt ciasne balkoniki, kuchnie w kolorze zupy pomidorowej, łazienki w której fugi są jak te u Bacha - grube, zaskakujące i pierwszoplanowe.

Co z tego zostanie, a jeśli tak, to czy przez autentyczną fascynację postmodernizmem, czy może przez zwykłe lenistwo. A może jestem zbyt okrutny. Może ten czas, początek polskiego snu o prosperity musiał być szalony i kolorowy? Może nasze dzisiejsze, stonowane szarości kiedyś nam zbrzydną i w architekturze pojawi się znów sen o kolorach, smokach i królewnach?

DLACZEGO NIE KAŻDY POKAZAŁ CIELECKĄ

Leszek Waligóra
red. nacz. Głosu Wielkopolskiego



Magdalena Cielecka wielką aktorką jest i basta. Niestety, nie wolno jej pokazywać, gdy rzuca makaronem i... lista wymogów była długa. Fotoreporterów, którzy odmówili jej spełniania - do relacjonowania tej części Festiwalu Malta nie dopuszczono. I tak wiele jej elementów był tylko dla nielicznych.

My, dziennikarze, jesteśmy od pokazywania rzeczywistości. Nie od przekazywania lukrowanych obrazków wymyślonych przez agencje PR. Niestety, coraz częściej jest tak, że ktoś tam sobie wymyślił czego mediom nie wolno i nagle chce wpływać na wolność słowa. Oczywiście: w dobrze rozumianym (czyimś) interesie, ale to, że agencje PR nie znają nawet prawa prasowego, staje się nową polską normą.

Dlatego część mediów nie pokazało 24-godzinnego show w wykonaniu Magdaleny Cieleckiej i 100 aktorów - amatorów i profesjonalistów (celowo nie piszę, jak inne media - mężczyzn, bo wiem, z dobrze poinformowanych źródeł, że przynajmniej jeden ze scenicznych partnerów pani Magdaleny mężczyzną na pewno nie był(a)). Część dziennikarzy i fotoreporterów nie dostało zaproszeń i zgody na wstęp, bo nie zgodzili się podpisać długiej listy żądań, które miały ograniczyć przekaz sztuki tylko do mniej lub bardziej wyretuszowanych obrazków. Utkwił mi w pamięci zakaz fotografowania pani Magdaleny, gdy rzuca makaronem, choć pewien jestem, że byłoby to zdjęcie pełne ekspresji, w odróżnieniu od tych wygładzonych zdjęć pani Cieleckiej siedzącej.

Te zakazy to jakaś zakała polskiego show-biznesu. Przed rokiem organizatorzy festiwalu Zorza wymyślili sobie, że zawodowi fotoreporterzy nie mogą robić tam zdjęć, a organizatorzy do 48 godzin po koncercie dostarczą wybrane przez siebie fotografie. Każdy mógł robić zdjęcia telefonem, ale nie medialni zawodowcy. Gdy mój komentarz na ten temat (Zorza, czyli co ma wspólnego Putin z Dawidem Podsiadło. Artysta to nasz obiekt strategiczny!) poniósł się w sieci - przedstawiciele organizatora zadzwonili z prośbą o jego usunięcie. Zaproponowałem zmianę zasad... ale się nie zgodzili.

Podobnie przed rokiem, redaktor Marcin Zasada, szef Dziennika Zachodniego, pisał o zasadach autoryzacji zdjęć Lenny'ego Kravitza, o tu: Lenny Kravitz i czatowanie na jego pęknięte portki w Gliwicach. Ktoś w końcu musiał zbuntować się przeciwko praktykom Live Nation

Na kolejnym koncercie w Poznaniu jeden z artystów wymagał z kolei, żeby fotografowano go tylko z jednego profilu. Niektórzy się zgodzili - i w niektórych mediach był artysta z jednej strony. W social mediach był z każdej. Śmieszne te zasady w czasach, gdy każdy uczestnik koncertu ma przy sobie telefon, nieraz ze świetną optyką, jakim może uwiecznić artystę w znacznie mniej pozytywnych ujęciach niż by sobie życzył, a zdjęcia te, wrzucone w social media, tak samo obiegną świat.

Coś się ta wolność artystyczna rozjechała artystom z wolnością słowa.

I wiem, że Malty otwartej, jak za moich studenckich czasów, już nie będzie. Że te kilka publicznych występów i koncert na koniec muszą wystarczyć, bo wymogi sponsorów, bo bilety, bo coś tam. Czerwony dywan nie może być dla wszystkich. Ale cenzura w XXI wieku?

CHIŃCZYK BY SIĘ UŚMIAŁ

Adam Willma
publicysta



No i po raz kolejny schemat zadziałał. Kiedy tylko władza zaczyna pochylać się nad naszym bezpieczeństwem, niechybnie podczas tego pochyłu wpakuje nam ręce do kieszeni. Tym razem jest to kieszeń w chińskim fartuszku kupionym na Temu. Nasi wybrańcy w Parlamencie Europejskim uznali, że dodatkowa opłata 3 euro za każdą kategorię zakupionych produktów uchroni nas przed „zalewem towarów niespełniających norm europejskich" i „nieuczciwą konkurencją wobec europejskich producentów". Jest jeszcze trzeci powód: „Obsługa celna milionów przesyłek generuje koszty dla administracji i operatorów pocztowych". Bo nie przypuszczacie chyba, że chińskie portale, ocierając łzę, pożegnają się z polskim rynkiem. Nic podobnego. Już w tej chwili Temu i AliExpress rozwijają w kilku miejscach w Europie swoje centra dystrybucyjne. Te same produkty będziemy również kupowali u polskich sprzedawców, którzy zaopatrzą się w Chinach hurtowo. A może jednak damy odetchnąć europejskim rzemieślnikom i małym firmom, które zapełniały kiedyś sklepy w rodzaju „1001 drobiazgów"? Działania w obronie europejskich producentów trzeba było podjąć nie dziś, ale co najmniej ćwierć wieku temu. Dziś kolejne cła niczego nie zmienią, bo chińscy wytwórcy górują nad europejskimi producentami już nie niskimi płacami i warunkami pracy rodem z Trzeciego Świata, ale nowoczesnymi i wydajnymi parkami maszynowymi oraz 2,4 razy niższymi kosztami energii niż w Europie. No i - tradycyjnie - pożary gasimy nowymi podatkami. I gdyby jeszcze miały one trafić na budowanie wielkiej sieci europejskiego handlu.

Ale nie. Moje opłaty za zakupy z Temu trafią do kieszeni celnika. Bo przecież u nas w Europie tanio znaczy niemoralnie.

DZIŚ KOLEJNE CŁA NICZEGO NIE ZMIENIĄ, BO CHIŃSCY WYTWÓRCY GÓRUJĄ NAD EUROPEJSKIMI PRODUCENTAMI CHOĆBY NIŻSZYMI KOSZTAMI ENERGII

eprasa.pl df8e3d5e19

Trump przemówił mimo burzy na 250-lecie USA

– Najlepsze dopiero przed nami - mówił prezydent USA Donald Trump podczas przemówienia na 250-lecie powstania Stanów Zjednoczonych

oprac. Karolina Wrońska



FOT. PAP/EPA

Pokaz fajerwerków w Waszyngtonie zgromadził tysiące widzów

W sobotę w Waszyngtonie temperatura sięgnęła niemal 39 stopni Celsjusza i pobiła rekord z 1919 roku dla 4 lipca. A na dodatek służby meteorologiczne zaapowiedziały burzę. W związku z tym, tysiącom osób, które czekały na wystąpienie prezydenta Donalda Trumpa i pokaz fajerwerków w parku National Mall w Waszyngtonie, polecono schronienie się w okolicznych budynkach. Część gości wydarzenia z okazji 250-lecia niepodległości USA nie podporządkowała się zaleceniu.

Wszystko w związku z obowiązującymi w USA przepisami nakazującymi ewakuację, ilekroć dochodzi do wyładowań atmosferycznych w odległości mniejszej niż trzy mile (5 km). Dotyczy to wszystkich wydarzeń publicznych, m.in. sportowych, czy kulturalnych. Podobna ewakuacja była zarządzona podczas trwającego mundialu.

Momo przeszkód Donald Trump zapowiedział, że wygłosi przemówienie z okazji Dnia Niepodległości bez względu na wszystko.

„Burze przynoszą szczęście, bez względu na okazję. Poza tym sprawiają, że wydarzenia są trochę bardziej ekscytujące! Przeczekamy to. Nie obchodzi mnie, czy będzie to druga w nocy, czy za godzinę. Wygląda na to, że burza minie – zawsze mijają. Będę tam bez względu na wszystko, a to »wszystko« zazwyczaj okazuje się czymś dobrym. To sobotni wieczór – BAWMY SIĘ DOBRZE, nawet jeśli zostaniemy do późna. Mówią, że przemówienie ma być o 23.00. I co z tego???" - napisał prezydent USA w serwisie Truth Social.

„Nasi wspaniali weterani, zwłaszcza najstarsi, z których wielu tam będzie, przeszli przez prawdziwe piekło i ich to nie powstrzymało. Nas też nie powstrzyma. Nie pozwolę, żeby jakiś deszcz pokrzyżował obchody naszej 250. rocznicy. Zaraz opuszczam Biały Dom. Niech Bóg błogosławi Amerykę!" - dodał.

Ostatecznie zwłoka wyniosła 1,5 godziny. Po odwołaniu zagrożenia wszystkie osoby, które opuściły teren wydarzenia, będą musiały ponownie przejść kontrolę bezpieczeństwa.

– Dobry wieczór, Ameryko! Jeśli wydaje się wam, że to było łatwe, to nic bardziej mylnego - powiedział Trump na początku przemówienia. - Chcę podziękować wszystkim, bo zrobiliście to, co należało. Zobaczyliście błyskawice, a ja powiedziałem: nie ma mowy. Nawet jeśli miałbym przemawiać do jednej osoby o czwartej nad ranem, i tak tu będę. Nie ma mowy, żeby cokolwiek nas powstrzymało - podkreślił Trump.

Prezydent poinformował, że przed zarządzeniem ewakuacji na miejscu było około 375 tys. ludzi. - A teraz jest nas nadal ok. 150 tys. - dodał. - Chcę wam podziękować. Jest mi bardzo przykro z powodu tych, którzy musieli wyjść i nie mogli już wrócić. Ale wy jesteście wyjątkowymi ludźmi i nasz kraj jest wyjątkowy - podkreślił Trump, któremu podczas wydarzenia towarzyszyli członkowie rodziny i gabinetu, w tym pierwsza dama Melania Trump.

- Ten kraj jest domem wolności. To ziemia wolności, a ta flaga jest sztandarem najbardziej niezwykłego, wyjątkowego i niesamowitego narodu, jaki kiedykolwiek istniał na Ziemi - oświadczył prezydent. Zapewnił, że dziś USA są „silniejsze, bardziej wolne, bogatsze, bezpieczniejsze i dumniejsze niż kiedykolwiek wcześniej".

Podobnie jak w piątek podczas przemówienia pod górą Rushmore, Trump mówił też o komunizmie i konieczności uchwalenia ustawy Save America Act. Na scenę zapraszał amerykańskich weteranów i członków ich rodzin oraz astronautów.

- Ameryka nigdy nie będzie krajem komunistycznym - zadeklarował Trump. - Nasi żołnierze nie walczyli z komunizmem na polach bitew całego świata po to, by to zagrożenie znów podniosło łeb tutaj, w Ameryce. Nie pozwolimy, by do tego doszło. Tego rodzaju zagrożenie trzeba powstrzymać natychmiast, zanim zdąży się rozwinąć. To tak jak z nowotworem: trzeba go wyciąć, i to jak najszybciej - oznajmił prezydent, który w ostatnim czasie kilkukrotnie atakował przeciwników politycznych, nazywając ich „komunistami".

- Ameryka wróciła i chcemy utrzymać jej wielkość. Dokonamy tego, przyjmując ustawę „Save America Act", która przewiduje, że wszyscy wyborcy będą musieli okazać dokument tożsamości, a także przedstawić dowód obywatelstwa. Nie będzie również głosowania korespondencyjnego, z wyjątkiem przypadków choroby, niepełnosprawności, służby wojskowej lub podróży. Dzięki temu nie będzie już oszustw wyborczych. To bardzo proste - kontynuował prezydent, który od dawna żąda, by Republikanie przegłosowali tę ustawę.

Trump przekonywał też Amerykanów, że kraj „dopiero się rozpędza". - To, co najlepsze, jest jeszcze przed nami. To dopiero świt złotej ery Ameryki. W tę 250. rocznicę i Dzień Niepodległości deklarujemy, tak jak uczynili to nasi przodkowie dwa i pół wieku temu, że dla naszego kraju, dla naszych dzieci i dla sprawy wolności wyniesiemy Amerykę na nowy poziom, na poziom, jakiego dotąd nie osiągnęła. Uczynimy ją większą, lepszą i silniejszą, a także będziemy ją kochać jeszcze bardziej - oświadczył Trump.

Po zakończeniu jego wystąpienia, które trwało ok. 35 minut, odegrano hymn państwowy i rozpoczął się pokaz fajerwerków, który Trump zapowiadał jako „największy w historii".

Świętowano nie tylko w Waszyngtonie. Ponad trzygodzinna przerwa spowodowana burzami nie przeszkodziła tysiącom mieszkańców Filadelfii. Niemal do godz. 3 w mieście trwał koncert połączony z pokazem fajerwerków. Świętowano też na stadionach, w muzeach i na ulicach.

Niewiele brakowało, by wielki koncert, mający stanowić zwieńczenie obchodów 250. rocznicy ogłoszenia Deklaracji Niepodległości w Filadelfii, zakończył się, jeszcze zanim na dobre się zaczął. Niedługo po planowym starcie imprezy zerwały się burze z piorunami, zmuszając organizatorów do wyproszenia dziesiątek tysięcy uczestników. Ostatecznie koncert wznowiono już po północy. Na scenie wystąpiły gwiazdy takie jak Seal, Will Smith, Kathy Sledge i zespół The Roots. Pokaz fajerwerków po koncercie zakończył się przed godz. 3. Mimo później pory na alei Franklin Parkway w centrum miasta bawiły się tysiące ludzi. Pokaz sztucznych ogni nie był aż tak huczny jak ten w Waszyngtonie, ale uczestnicy i tak byli zachwyceni.

Obchody zaczęły się w Filadelfii wcześnie rano od zakopania pod Independence Hall - budynkiem, w którym 4 lipca 1776 r. doszło do podpisania Deklaracji Niepodległości - specjalnej kapsuły czasu zawierającej przedmioty ze wszystkich stanów i terytoriów USA. Wśród nich znalazły się rozebrany na części iPhone, butelka Coca-Coli i wygenerowana przez chatbota AI prognoza, jak będzie wyglądała Kalifornia za 250 lat. To właśnie wtedy, 4 lipca 2276 r., ma zostać otwarta kapsuła.

Obok celebracji w mieście odbywały się protesty. Kilkuset członków lewicowych organizacji zebrało się pod Independence Hall z czarnymi flagami oraz hasłami sprzeciwu wobec wojen, imperializmu i miliarderów. Przekonywali, że prawdziwy wróg nie jest w „Caracas czy Hawanie", lecz w Białym Domu. PAP

REKLAMA 0011547864



eprasa.pl df8e3d5e19

KWESTIE SŁUŻBY ZDROWIA I ULTIMATUM PREMIERA

Sprawa Szpitala Południowego pokazała problemy, które od lat trawią polską służbę zdrowia, w tym omijanie kolejek do świadczeń i bardzo wysokie zarobki niektórych medyków. Premier postanowił to zmienić, nie w sposób doraźny, ale systemowy. W każdym razie takich propozycji rozwiązań odczekuje od resortu zdrowia

Dorota Kowalska



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Premier Donald Tusk oświadczył, że konieczne są „systemowe rozwiązania", które „uporają się z tymi najbardziej oburzającymi praktykami"

Wygląda na to, że premier Tusk postawił wziąć sprawy w swoje ręce. Służba zdrowia pogrążyła już niejedną ekipę rządzą, dzisiaj tak zwana afera Szpitala Południowego w Warszawie jest sporym kłopotem dla koalicji rządzącej.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że kwestia Szpitala Południowego to jest już kwestia prokuratury (...). Dla rządu ważne jest, aby skutecznie wyeliminować wyrodnienia i nadużycia, które są efektem nie tylko złej woli pojedynczych lekarzy, ale są także efektem złego systemu - oświadczył premier Donald Tusk. - Chcę mocno podkreślić, że nie będzie żadnej wyrozumiałości wobec tych zdarzeń - podkreślił, zapowiadając „konsekwencje prawne i karne wszędzie tam, gdzie zostało złamane prawo".

Szef rządu oświadczył, że konieczne są „systemowe rozwiązania", które „uporają się z tymi najbardziej oburzającymi praktykami", chodzi o słynny już salonik VIP, który miał funkcjonować w Szpitalu Południowym.

- Problem o wiele powszechniejszy to jest tak zwany zeszyt szpitala, a więc zeszyt, w którym są nazwiska tych, którzy zasługują na lepsze traktowanie. To jest obejście kolejki, czasami izolatka, ale głównie obejście kolejki. I to jest coś, co budzi absolutny sprzeciw. I to jest nieakceptowalne - mówił dalej premier.

I przekazał, powołując się na dane z NFZ, że „w 2024 roku przeprowadzono 909 kontroli, które zaowocowały 25 zawiadomieniami do prokuratury na kwotę blisko 88 milionów złotych w związku z oczywistymi nadużyciami".

Potem Donald Tusk poinformował, że czeka do wtorku na propozycje rozwiązań systemowych i „precyzyjne rekomendacje" w związku z nieprawidłowościami w ochronie zdrowia. Problemy, które wymienił, to wspomniane już wyżej saloniki VIP w szpitalach, omijanie kolejek do świadczeń i bardzo wysokie zarobki niektórych medyków.

Brak tych propozycji ma oznaczać „decyzje personalne", czyli jak łatwo się domyślać - dymisje.

Tak więc do wtorku Ministerstwo Zdrowia ma przygotować pakiet systemowych rozwiązań, które przedstawi premierowi. Donald Tusk dał nawet ministerstwu pewną wskazówkę - jego zdaniem odpowiedzią na omijanie kolejek i dostawanie się do specjalistów „po znajomości" ma być centralna e-rejestracja. Tusk oczekuje, że zacznie ona działać najpóźniej do końca roku. Tyle tylko, że, aby sprostać oczekiwaniom premiera, ministerstwo będzie musiało skrócić prace o trzy lata, bo planowany termin pełnego wdrożenia centralnej e-rejestracji to koniec 2029 roku.

Jej uruchomienie miałoby uniemożliwić korzystanie z publicznej ochrony zdrowia z pominięciem kolejki, bo będzie to system elektroniczny, w którym mają być zebrane wszystkie terminy do specjalistów w całym kraju. Pacjent będzie mógł zarezerwować wizytę przez aplikację mojeIKP, czy też przez Internetowe Konto Pacjenta.

Kolejna sprawa - uporządkowanie kwestii zarobków lekarzy. Resort musi przede wszystkim ustalić, ile medycy faktycznie zarabiają. Nie wie tego, bo dane o wynagrodzeniach, które szpitale i przychodnie przekazują Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, są zanonimizowane. Ustawa, która to zmienia, czeka na podpis prezydenta. Nowelizacja pozwoli na zbieranie danych o wynagrodzeniach w ochronie zdrowia w powiązaniu z numerem PESEL lub numerem prawa wykonywania zawodu (PWZ).

Naczelna Rada Lekarska apelowała do prezydenta, by jej nie podpisywał. Premier wręcz przeciwnie - prosi o poparcie tego rozwiązania.

- Bardzo proszę wszystkich, żeby zaakceptowali prosty zamysł rządu, żeby odpowiednia instytucja w Ministerstwie Zdrowia miała wgląd w to, kto i gdzie zarabia z publicznych pieniędzy - powiedział Tusk.

Wysokie zarobki medyków są ściśle związane z pracą na kontraktach. Dzisiaj lekarz może pracować wiele godzin w różnych przychodniach czy szpitalach. Jak wykazały kontrole NIK, rekordziści pracowali przez 120 godzin bez przerwy czy 488 godzin w miesiącu, a przynajmniej tak wykazywali w dokumentach.

Resort zdrowia, podobnie jak w kwestii zarobków, nie ma informacji - gdzie i ile godzin pracuje konkretny lekarz. To też ma się zmienić.

- NFZ mocą swoich przepisów będzie wyrażać konieczność sprawozdawczości grafików godzinowej pracy w obrębie podmiotów szpitalnych i w ten sposób będziemy mogli zweryfikować czas pracy i rzeczywistą obecność personelu medycznego w konkretnym miejscu pracy - wyjaśnił w Sejmie wiceminister Tomasz Maciejewski. Wskazał, że ma to uniemożliwić nakładanie się godzin pracy.

Maciejewski w Sejmie odnosił się także do kwestii wprowadzenia ograniczenia czasu pracy medyków. Powiedział, że resort pracuje nad ustaleniem takiego limitu. Przypomniał postulaty NIL, żeby lekarze nie mogli miesięcznie pracować więcej niż 332 godziny. Zaznaczył, że ograniczenie miałoby też dotyczyć lekarzy pracujących poza publiczną ochroną zdrowia.

- Zaangażowanie w pracę wpływa na sprawność psychofizyczną personelu medycznego w każdej jednostce, czy jest publiczna, czy niepubliczna, ma to znaczenie dla bezpieczeństwa pacjentów - podkreślił wiceszef MZ.

Zapowiadała to też minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda.

- Zasadnym jest i rozważamy opcję, by postawić górny limit przepracowanych godzin - stwierdziła Jolanta Sobierańska-Grenda.

Tyle tylko, że zarówno ewidencja czasu pracy, jak i limit godzinowy to rozwiązania nieujęte dotąd w rozporządzeniach, ani projektach, które je poprzedzają.

Resort ma też pomysł na ograniczenie zjawiska tzw. „lekarzy walizkowych", czyli pracy medyków w wielu placówkach jednocześnie, często odległych od siebie, przy jednoczesnym braku jednego stałego miejsca zatrudnienia. Wiceminister zdrowia Katarzyna Kęcka potwierdziła, że w resorcie trwają prace nad rozwiązaniem, które miałoby skutkować „przywiązaniem" osoby pracującej na kontrakcie z podmiotem medycznym. Kontrakt miałby być realizowany w wymiarze przynajmniej 50 procent pełnego etatu. Ponadto pomiot musiałby wyrazić zgodę na podpisanie przez medyka umowy z inną placówką medyczną.

Ministerstwo przygotowuje się także do ograniczenia zarobków lekarzy. Miałby to być tzw. CAP (czyli limit) indywidualny i podmiotowy. Indywidualny miałby dotyczyć zarobków medyków. Przedstawiciele resortu wymieniali go wielokrotnie, kiedy mówili o planowanych zmianach, ale nie padały szczegóły, jak miałby być skonstruowany. Podmiotowy natomiast oznaczałby procentowy udział wynagrodzeń w budżetach szpitali.

Przypomnijmy, sprawa Szpitala Południowego w Warszawie zaczęła się od Dawida Kacprzyka, 29-latka, radnego miasta stołecznego Warszawa i działacza Koalicji Obywatelskiej. Polityk zatrudniony w miejskim Szpitalu Południowym zarobił w ubiegłym roku 1,6 miliona złotych, odbywając jednocześnie specjalizację z anestezjologii. Miał tam przepracować łącznie 3976 godzin, czyli 10 godzin dziennie każdego dnia roku. Tyle tylko, że jak ustalili dziennikarze, grafik Kacprzyka pokrywał się z jego politycznymi występami w telewizji i Senacie. To jednak nie koniec „zdrowotnych" rewelacji. Według Portalu Zero, oddział ratunkowy w Szpitalu Południowym w Warszawie miał w przyspieszonym trybie, bez kolejki, przyjmować polityków KO.

Rafał Trzaskowski zlecił w szpitalu audyt, który wykazał nieprawidłowości. Pracę stracił Dawid Kacprzyk i dr Agata Kusz-Rynkun dyrektor ds. medycznych, która zatwierdzała grafiki lekarza oraz wystawione przez niego faktury. Kacprzyk oddał też szpitalowi część zarobionych w nim pieniędzy, zrezygnował w członkowstwa w KO i posady radnego. Pod koniec czerwca odwołano cały zarząd Szpitala Południowego.

Sprawą zajęła się także prokuratura i Naczelna Izba Lekarska.

W ubiegły piątek rezygnacje złożyły wiceprezydentki Warszawy: Renata Kaznowska i Aldona Machnowska-Góra. Jak zastrzegł Trzaskowski, dymisjami wiceprezydentek nie przesądza, czy są winne afery w Szpitalu Południowym.

Trzaskowski zdecydował też o rozszerzeniu „standardu odpartyjniania" na „pozostałe miejskie spółki, zarządy i rady nadzorcze" i nakreślił zasadę: „Albo praca dla Warszawy, albo członkostwo w partii".

- Dla mnie liczą się profesjonalizm, uczciwość i niezależność. Jeżeli ktoś jest dobrym fachowcem i zdecyduje się zrezygnować z członkostwa w partii politycznej, będzie mógł dalej pracować w zarządzie czy radzie nadzorczej miejskich spółek. I żeby było jasne, nikogo nie stygmatyzuję - zaznaczył.

Cóż trudno się dziwić, że politycy koalicji rznącej próbują odciąć się od afery Szpitala Południowego i uporządkować sprawę służby zdrowia. To kwestie, które obok bezpieczeństwa, są dla Polaków niesłychanie najważniejsze.

PAP

eprasa.pl df8e3d5e19

ORKA WYNURZYŁA SIĘ PO LATACH

A26 nie jest najnowocześniejszym okrętem spośród tych, które nam zaoferowano w ramach programu Orka, co nie oznacza, że nie jest to okręt nowoczesny. W tej chwili dywagacje, czy to był dobry wybór, porównywanie konstrukcji, zdolności, wszelkie „co by było, gdyby...” - nie są istotne. Ważne jest to, że kontrakt został - mówi kontradmirał rezerwy Mirosław Mordel, były dowódca Dywizjonu Okrętów Podwodnych, 3 Flotylli Okrętów

Tomasz Chudzyński

W poniedziałek, od podpisania umowy ze szwedzkim Saabem, zakończyła się epopeja związana z wyborem okrętów podwodnych dla Polskiej Marynarki Wojennej w ramach programu Orka.
Powiem szczerze, poczułem ulgę. Blisko pozyskania nowych okrętów podwodnych byliśmy już przecież kilka razy, ale ostatecznie się nie udawało. Tym razem jednak nie zabrakło decyzji politycznych, finansowych ani ostatnich podpisów pod umowami. Mamy wreszcie, po wielu latach oczekiwania, kontrakt na nowoczesne okręty podwodne. Byłem w czasie podpisania dokumentów na pokładzie ORP „Gen. T. Kościuszko”, obserwowałem uroczystość z wielkim zainteresowaniem i, jak mówiłem wcześniej, ulgą. Okręty podwodne są po prostu naszej Marynarce Wojennej, naszym siłom zbrojnym, niezbędne. Będą stanowiły istotny element narodowego systemu odstraszania militarnego - w czasie pokoju, zniechęcając potencjalnego agresora do rozpoczęcia konfliktu. A w czasie kryzysu i wojny zapewnią unikalne zdolności operacyjne, których nie są w stanie zastąpić inne jednostki pływające. Mam też satysfakcję - przekonywałem od lat, wraz z całym środowiskiem podwodniaków, że pozyskanie dla Marynarki Wojennej RP nowoczesnych okrętów podwodnych nie jest żadnym kaprysem czy fantasmagorią, a wynika z realnej oceny potrzeb naszych Sił Zbrojnych.

Zapłacił pan osobistą cenę za działania na rzecz pozyskania okrętów podwodnych dla Polskiej Marynarki Wojennej, bo pańska kariera została przedwcześnie przerwana.
To przeszłość. Było, minęło. Natomiast sądzę, że nie ma w tej chwili marynarza Marynarki Wojennej, który nie byłby zadowolony z podpisania tego kontraktu i nie cieszył się z podjętych decyzji.

Zdania ekspertów co do wyboru szwedzkiej oferty są podzielone - czy jest to dobry okręt, czy są lepsze. W rozmowie jakiś czas temu wskazywał pan, że w całym tym postępowaniu sam typ okrętu nie jest najbardziej istotny. Najważniejszy jest cały system walki, żeby jednostka pasowała do niego i była nowoczesna.
Podtrzymuję tę opinię. A26 nie jest najnowocześniejszym spośród zaoferowanych Polsce w ramach programu Orka okrętów, ale ta ocena dotyczy tylko i wyłącznie samych jednostek. A pamiętajmy, że w ramach postępowania analizie i ocenie poddany był nie tylko ten aspekt, a cała oferta, każdy jej element - sam okręt, jego cena, oferta szkoleniowa, pakiet logistyczny, możliwości potencjalnej współpracy, zarówno przemysłowej, jak i wojskowej. Niebagatelny wpływ na ostateczną decyzję miała zapewne również sytuacja geopolityczna i położenie geograficzne. Mamy zatem wybór okrętów z położonej blisko nas Szwecji. A bliskość Szwecji oznacza bliskość macierzystej stoczni i ośrodków szkoleniowych, pozwala myśleć o - w przyszłości - wspólnym szkoleniu, skoordynowanym kierowaniu, wspólnych operacjach i budowaniu wspólnych, albo przynajmniej kompatybilnych, zdolności ratowniczych dedykowanych tym okrętom. Biorąc pod uwagę te wszystkie czynniki, należy przyznać, że to dobry wybór. I jeszcze jedna sprawa - wyraziłem opinię, że okręt A26 nie jest najnowocześniejszy, ale, tak czy owak, jest to okręt nowoczesny.


FOT. ARCHIWUM

Poczułem ulgę – mówi Mirosław Mordel (drugi od prawej)

I myślę, że wszelkie dywagacje w tej chwili, czy to był dobry wybór, porównywanie konstrukcji, zdolności, rozwiązań, wszelkie „co by było, gdyby...” - nie są istotne. To akademicka dyskusja. Ważne, że kontrakt został podpisany. Teraz trzymajmy kciuki za szwedzkiego stoczniowca i za polskiego marynarza. Trzymajmy kciuki, bo zagrożenia, czy też ryzyka, istnieją. Po pierwsze pamiętajmy, że to prototyp, a więc nie można wykluczyć tzw. problemów wieku dziecięcego. Po drugie czas. Harmonogram dostaw jest napięty, a jak pamiętamy, program A26 już jest opóźniony. Ale niech wszystko się uda i doczekamy naszych nowych Orek w zakładanym terminie...

Nie mówi się o tym za wiele, ale Szwedzi mają spore doświadczenie i zdolności związane z bronią podwodną. Można je ocenić chociażby w trakcie zwiedzania Muzeum Morskiego w Karlskronie, gdzie cała wystawa poświęcona jest szwedzkim okrętom podwodnym, łącznie z zamienioną w okręt-muzeum jednostką HMS „Neptun”.
Miałem okazję wyjść w morze na pokładzie okrętu A19. To jest bardzo dobry okręt, nowoczesna, solidna, przemyślana konstrukcja. Bez dwóch zdań Szwedzi mają doświadczenie zarówno w budowie, jak i użyciu okrętów podwodnych. I co najważniejsze - operują na Bałtyku. To bardzo istotny czynnik. Na bazie własnych doświadczeń Szwedzi skonstruowali okręt pod Bałtyk i na Bałtyk, czyli do działań na wodach płytkich i trudnych akustycznie. Z drugiej strony nie jest tajemnicą, że dawno nie budowali okrętów podwodnych - ostatni bodajże ponad 20 lat temu. Program A26 dla szwedzkiej Marynarki Wojennej już w tej chwili notuje kilkuletnie opóźnienie. Myślę jednak, a właściwie mam nadzieję, że teraz z naszym kontraktem i zastrzykiem środków, uda się im te problemy zażegnać i z budową naszych jednostek się sprężą - kolokwialnie mówiąc. Czas to przecież niezwykle istotny z naszego punktu widzenia faktor.

Wielokrotnie prostował pan kwestię akwenu - Bałtyku, jako morza mającego nie nadawać się do współczesnych podmorskich działań bojowych. My będziemy potrafili użyć naszych okrętów podwodnych w działaniach sojuszniczych zapewniających bezpieczeństwo i będących stałym zagrożeniem dla naszych potencjalnych wrogów?
Rzeczywiście, wielu mówi, że Bałtyk jest mały i płytki, ale jest to ocena z perspektywy mola w Sopocie, kiedy przy dobrej widoczności widać Hel, a zatoka wydaje się być dużym jeziorem. Wbrew tym opiniom jest to morze, gdzie głębokości zdecydowanie pozwalają na działanie okrętów podwodnych. W dodatku specyfika Bałtyku powoduje, że trudno jest je wykryć. A okręt podwodny oferuje unikalne zdolności. Mówiąc w wielkim uproszczeniu i skrócie - potrafi zrobić niemalże wszystko to, co bojowy okręt nawodny, ale zrobić to skrycie. W czasie pokoju jest doskonałym - o ile nie najlepszym - środkiem do prowadzenie rozpoznania. Potrafi przebywać w danym rejonie przez bardzo długi czas, realizować rozpoznanie akustyczne i radioelektroniczne, oczywiście - skrycie! A w czasie wojny to pełen wachlarz zadań, od rozpoznania, przez wsparcie i ochronę, stawianie min, operacje specjalne, aż po zwalczanie transportowców, okrętów nawodnych i podwodnych oraz - w przypadku posiadania takiego uzbrojenia - atakowanie celów lądowych. Nie jest to uniwersalny środek, ale z pewnością wszechstronny.

Jedno się nie zmienia – służba na okręcie podwodnym jest wymagająca.
To prawda. Wszystkim uświadomić może, o czym mówimy, wizyta na Sokole - okręcie muzeum w Gdyni. Jednostki typu Kobben były niewielkie, bardzo ciasne, a pamiętajmy, że musiały operować nawet po kilka miesięcy w ramach misji na Morzu Śródziemnym. Okręty A26 będą nieco większe, nowocześniejsze, warunki bytowania załogi będą lepsze. Ale w dalszym ciągu będzie to po prostu okręt podwodny, na którym służba wymaga od załoganta poświęcenia, samozaparcia i ciężkiej pracy.

Ostatnio umowę na nowy okręt podwodny podpisywaliśmy na obecny ORP „Orzeł”, na początku lat 80. XX w. Dawno temu. Teraz mamy umowę na A26, które będą kolejnym punktem w odbudowie naszych sił morskich.
W kwestii Marynarki Wojennej RP widać już światełko w tunelu. Nie zgodzę się z opinią, że ten rodzaj Sił Zbrojnych znajduje się w „głębokiej zapaści”, jak to określił pan generał Roman Polko w niedawnym wywiadzie. Zapaść to stan beznadziejny połączony z marazmem, kojarzący się z koniecznością natychmiastowej pomocy, niemalże reanimacji. A przecież działania naprawcze, że tak to określę, zostały podjęte i są realizowane. Budowane są fregaty Miecznik, niszczyciele min Kormoran - część z nich już w linii, okręty rozpoznania radioelektronicznego Delfin i ratowniczy okręt Ratownik, mamy podpisaną umowę na Orki. Budujemy Brygadę Rakietową. Szkolimy kadry. Trzeba sobie zdawać sprawę, że to proces, który zajmuje lata. I chociaż te budowy nie wyczerpują potrzeb Marynarki Wojennej, w tej chwili śmiało można powiedzieć, że jesteśmy na dobrej drodze.
©℗

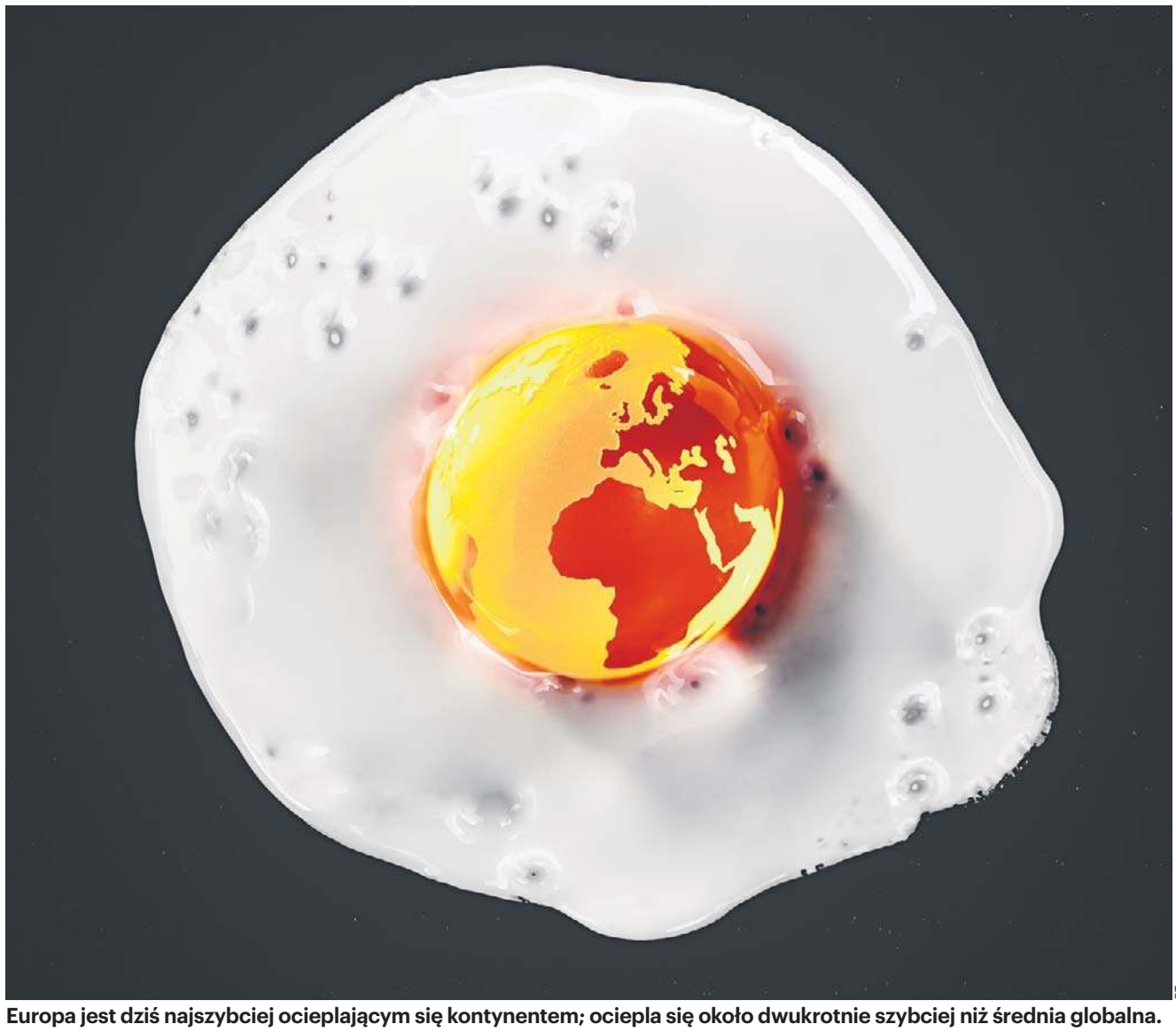
eprasa.pl df8e3d5e19

Polska
Poniedziałek, 6.07.2026

ZGRILLOWANI, UGOTOWANI PO FALI AFRYKAŃSKICH UPAŁÓW

– Zmiana klimatu nie jest już odległą, wyimaginowaną prognozą, lecz realnym doświadczeniem, które wpływa na nasze zdrowie, przekształca nasze miasta, rzeki, lasy i zmienia naszą codzienność szybciej niż jesteśmy na to przygotowani – mówi profesor Zbigniew Zwoliński

Szymon Paź



BT

Europa jest dziś najszybciej ocieplającym się kontynentem; ociepla się około dwukrotnie szybciej niż średnia globalna.

Po rekordowo gorącym poprzednim weekendzie czuje się pan bardziej zgrillowany czy ugotowany?
Po takim weekendzie chyba jedno i drugie, choć prawidłowo powiedziałbym raczej termicznie przeciążony. Spędziłem te dni poza miastem, w lesie i nad wodą, więc byłem w lepszej sytuacji niż osoby przebywające w centrum dużego miasta. A jednak nawet tam odczuwałem fale gorącego powietrza, przed którymi trudno było się schować. Drzewa, cień, lekki wiatr i woda dawały tylko chwilową ulgę. To dobrze pokazuje, że przy temperaturach zbliżających się do 40°C problem nie ogranicza się już tylko do miast.

Dla ludzi to jakaś różnica?
Językowo tak, fizjologicznie niewielka. Dla organizmu najważniejsze jest to, czy może skutecznie oddawać ciepło. Gdy temperatura powietrza jest bardzo wysoka, a do tego dochodzi duża wilgotność, słaby wiatr i brak nocnego ochłodzenia, organizm zaczyna pracować na granicy wydolności. Upał nie jest więc wyłącznie dyskomfortem, to obciążenie układu krążenia, oddechowego, nerek i całego mechanizmu termoregulacji.

Aby porozmawiać i uniknąć upału, musieliśmy się spotkać w klimatyzowanym pomieszczeniu. Tak wygląda nasza przyszłość?
Częściowo zapewne tak, ale sama klimatyzacja nie może być główną odpowiedzią na ocieplenie klimatu. W sytuacjach skrajnych klimatyzacja ratuje nasze samopoczucie, zdrowie, a nawet życie, szczególnie u osób starszych i chorych. Jeżeli jednak będziemy chłodzić budynki energią produkowaną z paliw kopalnych, to jednocześnie zwiększymy emisje gazów cieplarnianych, a urządzenia klimatyzacyjne oddadzą dodatkowe ciepło do przestrzeni miejskiej. To może stać się błędnym kołem. Dlatego musimy działać inaczej, np. ograniczać nagrzewanie miast, zwiększać cień, zatrzymywać wodę, sadzić drzewa, rozszczelniać powierzchnie rozległych placów itd. Nie chodzi o to, by zlikwidować place, parkingi czy drogi itp., ale by przestać traktować uszczelnioną, ciemną, rozgrzaną powierzchnię miejską jako domyślny model.

Rekordowe temperatury notowaliśmy w całym kraju. Stacja w Słubicach, gdzie odnotowano 40,5°C, nie leży w środku miasta ani w zabetonowanej przestrzeni. Historyczny rekord odnotowano też w Białowieży. Upał dopadnie nas wszędzie?
Tak, choć w różnym stopniu. Warto doprecyzować, że informacja o 40,5°C w Słubicach pochodziła z danych operacyjnych IMGW-PIB i jako rekord wymaga standardowej kontroli jakości. Niezależnie od tego skala zjawiska jest jasna, mówimy o wyjątkowej fali upału w historii polskich pomiarów. Miasta wzmacniają upał, zwłaszcza nocą, bo budynki i nawierzchnie oddają ciepło przez wiele godzin. Ale wysoka temperatura w mieście nie jest wyłącznie efektem miejskiej wyspy ciepła. Przy napływie bardzo gorącej masy powietrza znad kontynentu afrykańskiego wysokie wartości pojawiają się także na stacjach synoptycznych w lasach, na polach i w małych miejscowościach. Z punktu widzenia meteorologii w Polsce upał oznacza zwykle dzień z temperaturą maksymalną co najmniej 30°C. Jeśli mamy 35-40°C, to nie jest już zwykły letni epizod, lecz warunki niebezpieczne dla zdrowia, a nawet życia.

Jest poziom gorąca, po przekroczeniu którego śmierć jest wyraźnie bardziej prawdopodobna?
Nie ma jednej uniwersalnej granicy wyrażonej tylko temperaturą powietrza. Ryzyko zależy od wilgotności, wiatru, nasłonecznienia, stanu zdrowia, wieku, nawodnienia, wysiłku fizycznego oraz od tego, czy noc przynosi ochłodzenie. W naszej strefie klimatycznej groźne są tak zwane noce tropikalne, kiedy minimalna temperatura powietrza nie spada poniżej 20°C, bo organizm nie ma wtedy czasu na regenerację po gorącym dniu. Medycyna zna pojęcie temperatury mokrego termometru, która łączy temperaturę i wilgotność. Przy bardzo wysokiej wilgotności nawet temperatura niższa niż 40°C może być śmiertelnie niebezpieczna. Europejska fala upałów w 2003 r. ukazała to bardzo dramatycznie; we Francji odnotowano około 15 tysięcy nadmiarowych zgonów, we Włoszech zmarło 20 tysięcy osób, a w całej Europie dziesiątki tysięcy. Najbardziej narażone są osoby starsze, chore, samotne, małe dzieci i osoby pracujące fizycznie na zewnątrz, ale upały obciążają nas bez wyjątków.

Czy nauka ma recepty na to, jak możemy się dostosować, najlepiej w krótkim czasie?
Ma, choć trzeba odróżnić działania natychmiastowe od długofalowych. W krótkim czasie potrzebne są ostrzeżenia przed upałem, punkty schłodzenia, kurtyny wodne, dostęp do wody pitnej, zmiana godzin pracy na zewnątrz, opieka nad osobami samotnymi i starszymi, zacienianie przystanków, szkół, placów zabaw i ulic. To są działania bardzo praktyczne i możliwe do wykonania niemalże ad hoc. Natomiast w dłuższej perspektywie musimy przebudować sposób projektowania miast i gospodarowania wodą. Rozwiązania oparte na przyrodzie, czyli drzewa, parki, zbiorniki (oczka) wodne, zielone dachy i korytarze przewietrzania, nie są ozdobą ani ideologią. To infrastruktura bezpieczeństwa. Jednocześnie adaptacja klimatyczna nie zastąpi ograniczania emisji gazów cieplarnianych. Jeśli będziemy tylko dostosowywać się do coraz większego upału, a nie zatrzymamy przyczyn ocieplenia, to granice adaptacji będą coraz szybciej przekraczane.

Jak te upały wpływają na przyrodę, rośliny, zwierzęta?
Wpływają bardzo silnie, zwłaszcza gdy idą w parze z suszą. Rośliny szybciej przechodzą kolejne fazy rozwoju, ale to nie zawsze jest korzystne. Przy braku wody dojrzewanie bywa wymuszone,

eprasa.pl df8e3d5e19

ziarno lub owoce są słabiej wykształcone, plony spadają, a część roślin po prostu zasycha. W ostatnich latach obserwujemy wcześniejsze żniwa niektórych upraw, choć oczywiście terminy zależą od regionu, gleby, odmiany i przebiegu pogody w całym sezonie. Zwierzęta cierpią z powodu braku wody, przegrzania, zaniku małych zbiorników wody i zmian w dostępności pokarmu. W lasach upał i susza zwiększają podatność drzew na szkodniki i choroby, a wyschnięta ściółka oraz runo podnoszą ryzyko pożarów.

A co z naszymi rzekami, jeziorami, Bałtykiem? Pewnie niektórzy ucieszą się z cieplejszej wody.
Cieplejsza woda jest przyjemna dla kąpiących się tylko do pewnego momentu. Zbyt ciepła woda dla ekosystemów wodnych oznacza często kłopoty. Im cieplejsza, tym może mniej zawierać rozpuszczonego tlenu. Jeżeli do tego dochodzi dopływ biogenów, zwłaszcza związków azotu i fosforu, rośnie ryzyko zakwitów sinic i glonów. Skutkiem mogą być zakazy kąpieli, problemy dermatologiczne, zagrożenia dla zwierząt i śnięcia ryb. W małych, płytkich jeziorach ryzyko jest szczególnie duże. Mogą szybciej zarastać, tracić tlen, a przy długotrwałej suszy także zmniejszać powierzchnię. Nie jest to proces natychmiastowy, ale ocieplenie i eutrofizacja go przyspieszają.

Szkoci rozpoczęli sadzenie drzew nad brzegami rzek, by schładzać w nich wodę. M.in. po to, by chronić łososia atlantyckiego. Myślimy w takich kategoriach w Polsce?
Powinniśmy myśleć znacznie częściej. Zadrzewione brzegi rzek i potoków działają jak naturalna osłona, bowiem dają cień, obniżają temperaturę wody i wiele więcej. W przypadku mniejszych cieków efekt zacienienia może być bardzo wyraźnie skuteczny. W Polsce takie rozwiązania pojawiają się w projektach renaturyzacyjnych, ale wciąż zbyt często brzegi rzek traktuje się jak przestrzeń, którą trzeba oczyścić, wyprostować i utrzymać w sposób techniczny.

To przykład błędów w naszej polityce środowiskowej? Nie doceniamy wpływu klimatu na przyrodę, gospodarkę czy mieszkańców?
Częściowo tak. Nie zawsze są to błędy wynikające ze świadomych zaniedbań. Ich źródłem jest niewiedza, brak wyobraźni albo niedostateczne rozpoznanie skutków podejmowanych decyzji. Często wynikają z przyzwyczajeń, krótkiej perspektywy politycznej i sektorowego myślenia. Traktujemy osobno drogi, rolnictwo, wody, zdrowie, przyrodę, a zmiana klimatu nie uznaje takich podziałów. Jeżeli planujemy osiedle bez cienia, drogę bez retencji, regulację rzeki bez myślenia o przepływach niskich i wysokich, albo rolnictwo bez ochrony gleby i wody, to później dziwimy się skutkom. Adaptacja do zmiany klimatu musi być obecna w planowaniu w każdym segmencie życia. Musi wzrosnąć świadomość klimatyczna w społeczeństwie, a może w pierwszej kolejności wśród polityków. Inaczej będziemy stale reagować po fakcie.

Wszystkim na całym świecie zajmuje tak dużo czasu, jak nam, zrozumienie tych zmian?
Świadomość rośnie na całym świecie, bo właściwie nie ma już regionu, w którym nie obserwowano by skutków zmiany klimatu. Różne są natomiast tempo działań, możliwości finansowe i gotowość polityczna. Europa jest dziś najszybciej ocieplającym się kontynentem; według raportów WMO i Copernicusa ociepla się około dwukrotnie szybciej niż średnia globalna. Nie wynika to po prostu z tego, że mamy dużo betonu. Szybsze ocieplanie Europy wiąże się przede wszystkim z położeniem kontynentu, przewagą lądów, zmianami cyrkulacji atmosferycznej i silnym ociepleniem wysokich szerokości geograficznych.

Arktyka, Antarktyda to są te miejsca, gdzie te zmiany są najlepiej widoczne gołym okiem?
Arktyka jest jednym z najbardziej czytelnych przykładów. Od końca lat 70. XX w. obserwujemy silny spadek zasięgu i grubości lodu morskiego, ocieplanie się powietrza czy rozmarzanie wieloletniej zmarzliny. W badaniach wskazuje się, że w ostatnich dekadach Arktyka ociepla się niemal cztery razy szybciej niż średnio cały glob. Antarktyda jest bardziej złożona. Ale dla reszty świata najważniejsze jest to, że zmiany w obszarach polarnych wpływają na poziom morza, cyrkulację oceaniczną i atmosferyczną oraz na globalny bilans energii.

W jaki sposób to wpływa na pozostałe kontynenty?
Najbardziej bezpośrednio przez wzrost poziomu morza. Podnoszenie poziomu wszechoceanu wynika zarówno z topnienia lodowców i lądolodów, jak i z rozszerzalności cieplnej oceanu. Dla nisko położonych wysp, delt i wybrzeży to problem egzystencjalny. Są już przykłady relokacji miejscowości w państwach wyspiarskich, np. w 2005 r. wioska Lateu na wyspie Tegua (Vanuatu) ze 100 mieszkańcami została przeniesiona 15 m wyżej. Symboliczne posiedzenie rządu Malediwów 6 m pod wodą w 2009 r. miało właśnie zwrócić uwagę świata na ten problem. Przy czym poziom morza nie rośnie wszędzie tak samo, są też inne czynniki. Ale zmiany na obszarach polarnych wpływają też na ekosystemy morskie, cyrkulację oceaniczną i potencjalnie na przebieg pogody w średnich szerokościach geograficznych.

Mam wrażenie, że takie dyskusje w niewielkim stopniu dochodzą do Polski. Owszem, słyszeliśmy o podnoszeniu się mórz, ale chyba nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, że Gdańsk znajdzie się pod wodą.
W przypadku Gdańska i Żuław problem jest realny, ale trzeba go opisywać bez sensacji. Nie chodzi o to, że w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat morze nagle zaleje całe miasto. Chodzi o narastające ryzyko, tj. wyższy średni poziom morza, cofki sztormowe, podtopienia, erozję wybrzeża itp. Gdyby w bardzo odległej perspektywie stopniały wszystkie lodowce i lądolody świata, poziom morza wzrósłby o około 70 metrów. To scenariusz skrajny, rozłożony na bardzo długie skale czasu, a nie prognoza dla naszych wnuków czy prawnuków. Dla dzisiejszej polityki ważniejsze są realne decyzje takie jak gdzie nie budować czy jak chronić Żuławy.

Czy są scenariusze, które byłby dla nas prawdziwą katastrofą?
Przekraczanie progów w systemie klimatycznym, np. dalsza utrata lodów Grenlandii i Antarktydy Zachodniej, osłabienie atlantyckiej cyrkulacji południkowej, degradacja wieloletniej zmarzliny. To nie musi wyglądać jak jeden filmowy kataklizm. Katastrofalne może być sumowanie się wielu zdarzeń ekstremalnych: suszy, upału, pożarów, powodzi, strat w rolnictwie czy migracji.

O Prąd Zatokowy się pan nie martwi?
Martwię się, ale trzeba uporządkować pojęcia. Prąd Zatokowy o spopularyzowanej nazwie Golfsztrom jest częścią większego układu cyrkulacji na Atlantyku. Dla klimatu Europy szczególnie ważna jest atlantycka południkowa cyrkulacja wymienna (AMOC), obejmująca transport ciepłej wody z południowej półkuli ku północy i chłodniejszej wody na południe w głębi oceanu. Źródła Prądu Zatokowego należy wiązać z cyrkulacją zachodniego Atlantyku, Prądem Florydzkim i wodami transportowanymi z rejonu Zatoki Meksykańskiej oraz Karaibów ku północnemu Atlantykowi. IPCC (Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu) ocenia, że AMOC bardzo prawdopodobnie osłabnie w XXI w., choć gwałtowne załamanie przed 2100 r. nie jest uznawane za najbardziej prawdopodobny scenariusz. Osłabienie tej cyrkulacji mogłoby zmienić rozkład temperatur, opadów i sztormów w Europie..

Innym, chyba dość dobrze już w Polsce znanym zjawiskiem wpływającym na naszą pogodę jest niż genueński. Mamy najcieplejsze Morze Śródziemne w historii pomiarów. Będziemy mieć kolejną powódź?
Niże śródziemnomorskie, w tym niże genueńskie, mogą przynosić długotrwałe i bardzo intensywne opady, zwłaszcza na południu kraju. Mechanizm jest znany: nad ciepłym Morzem Śródziemnym powietrze może zawierać dużo pary wodnej, a gdy wilgotna masa powietrza trafia nad Europę Środkową i napotyka góry oraz chłodniejsze powietrze, opady mogą być wyjątkowo obfite. Takie układy odegrały istotną rolę m.in. w powodziach 1997 r. i 2024 r. Ocieplenie Morza Śródziemnego nie oznacza automatycznie, że każdy niż genueński spowoduje katastrofę. Zwiększa jednak potencjał wilgoci w atmosferze. Ogólna zasada fizyczna jest prosta: im cieplejsze powietrze tym więcej może utrzymać pary wodnej. Dlatego w cieplejszym klimacie rośnie ryzyko bardzo intensywnych opadów. Dla Polski oznacza to większą zmienność, tj. dłuższe okresy suszy mogą być przerywane gwałtownymi opadami, które nie odbudowują zasobów wodnych tak skutecznie, jak spokojny, długotrwały deszcz.

Z pomiarów wynika, że regularnie pada u nas coraz mniej i częściej borykamy się z suszą.
Susza w Polsce ma kilka przyczyn, w tym cyrkulację atmosferyczną. Znaczenie ma też wzrost temperatury, który zwiększa parowanie, krótsze zaleganie pokrywy śnieżnej, osuszanie mokradeł i torfowisk, regulacja rzek itp. Nawet jeśli roczna suma opadów nie spada dramatycznie, woda może być gorzej dostępna, bo szybciej odpływa albo paruje. Z drugiej strony cieplejsza atmosfera sprzyja intensywnym zjawiskom konwekcyjnym, czyli burzom z ulewami. Tylko że gwałtowny, ulewny opad nie rozwiązuje problemu suszy. Gdy w ciągu godziny spada kilkadziesiąt litrów wody na metr kwadratowy, woda często spływa po powierzchni, powoduje podtopienia i erozję, ale słabo zasila glebę i wody podpowierzchniowe. Dlatego możemy mieć jednocześnie suszę rolniczą i lokalną powódź błyskawiczną. To jeden z najbardziej kłopotliwych paradoksów ocieplającego się klimatu.

Rozumiem, że jako ludzkość obecnie możemy tylko reagować na te zmiany w pogodzie?
Nie. Musimy działać równocześnie w dwóch kierunkach, tzn. ograniczać przyczyny zmiany klimatu i adaptować się do skutków, których już nie unikniemy. Najważniejsze po stronie przyczyn jest ograniczanie spalania paliw kopalnych takich jak węgiel, ropa i gaz. Każda dodatkowa tona dwutlenku węgla zwiększa ocieplenie, a każda niewyemitowana tona zmniejsza przyszłe ryzyko. Adaptacja jest konieczna, bo część zmian już się dokonała i będzie narastać przez najbliższe dekady. Ale adaptacja bez redukcji emisji będzie coraz droższa i coraz mniej skuteczna. To trochę jak z leczeniem choroby: możemy łagodzić objawy, ale jeśli nie zajmiemy się przyczyną, stan pacjenta będzie się pogarszał.

Ci, którzy wciąż nie wierzą w te zmiany, ale są ciekawi i chcą dowiedzieć się więcej, gdzie powinni szukać informacji?
Najlepiej zaczynać od źródeł, które jasno pokazują dane i oddzielają fakty od opinii nie zawsze dobrze poinformowanych osób. Po polsku bardzo dobrym miejscem jest portal Nauka o klimacie, prowadzony przez naukowców i popularyzatorów, m.in. z udziałem prof. Szymona Malinowskiego. Najważniejsze jest, by nie traktować zmiany klimatu jako sporu światopoglądowego, ideologicznego. To jest zagadnienie fizyczne, środowiskowe, a w konsekwencji zdrowotne i gospodarcze. Można dyskutować o tempie działań, kosztach i priorytetach, ale nie o tym, czy dodatkowe gazy cieplarniane zatrzymują więcej energii w systemie klimatycznym naszej planety. To jest dobrze zmierzony fakt, nie tylko na Hawajach. Ostatnia fala upałów pokazuje, że zmiana klimatu nie jest już odległą, wyimaginowaną prognozą, lecz realnym doświadczeniem, które wpływa na nasze zdrowie, przekształca nasze miasta, rzeki, lasy i w ogóle krajobrazy oraz zmienia naszą codzienność szybciej niż jesteśmy na to przygotowani mentalnie, organizacyjnie i technologicznie.

CV



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Prof. dr hab. Zbigniew Zwoliński
Geograf, badacz obszarów arktycznych, antarktycznych i tropikalnych, autor i współautor ponad 300 artykułów, rozdziałów w monografiach, redaktor czasopism naukowych i książek, Przewodniczący Komitetu Nauk Geograficznych PAN, członek-korespondent PAU.

REKLAMA 0211461412



eprasa.pl df8e3d5e19

GARBATY WYBAWCA. TA MASZYNA RATOWAŁA NASZE LASY JUŻ SETKI RAZY

Kiedy przychodzi zgłoszenie o pożarze, nie ma odprawy. W ciągu kilku minut samolot musi być w powietrzu. W porównaniu z Dromaderem pilotowanie Boeinga to gratka

Adam Willma



FOT. MATEUSZ GRZESZCZUK

Gdy zrzuca się dwie tony wody, samolot potrafi wyskoczyć kilkadziesiąt metrów w górę

Z boku nie wygląda na samolot, który może zabrać ponad dwie tony wody: krótki kadłub, zwarta sylwetka, kabina wysoko nad ziemią. Ale gdy stanie się przy skrzydle, proporcje zaczynają działać na wyobraźnię - 9,5 metra długości i 17,7 rozpiętości, prawie dwa razy więcej skrzydła niż kadłuba.

- Dromader waży około 2700 kilogramów, a z paliwem i wodą może dojść do 5300 kilogramów masy startowej - mówi pilot Marcin Berlik z Mieleckich Zakładow Lotniczych, które wygrały przetarg na ochronę kujawsko-pomorskich lasów. - Zabiera niemal tyle wody, ile sam waży. To taki kulturysta wśród samolotów.

W Dromaderze wszystko podporządkowane jest jednemu zadaniu - szybko wystartować, dolecieć tuż nad ogień, zrzucić wodę i wrócić po następną porcję. Czasem wiele razy w ciągu kilku godzin. W pobliżu Torunia, kiedy pożar jest blisko lotniska, załogi potrafiły wykonać nawet 11 zrzutów w ciągu trzech godzin. Przy dobrym ustawieniu lądowanie, tankowanie wodą i ponowny start można zamknąć w 3-4 minutach.

Kulturysta na dyżurze

Lotnicy z Mielca obsługują teren Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. W Toruniu na sygnał czekają dwa samoloty, w Rytlu - na północy Borów Tucholskich - jeden. Podział wynika z mapy i czasu dolotu, bo przy gaszeniu z powietrza im bliżej do pożaru, tym szybciej można zrzucić pierwszą wodę i tym więcej nawrotów da się wykonać.

Lasy wchodzące w skład Regionalnej Dyrekcji w Toruniu są bardzo zróżnicowane. Mowa o Borach Tucholskich, Puszczy Bydgoskiej, Lasach Gostynińsko-Włocławskich i mniejsze kompleksach wokół wielu miast regionu. W niektóre miejsca dojazd wozami gaśniczymi jest stosunkowo prosty, ale w innych - mocno problematyczny. Samolot może dać strażakom niezbędny czas.

O starcie decydują za każdym razem leśnicy - każde nadleśnictwo ma punkt alarmowo-dyspozycyjny. Dyżurni śledzą sytuację, a gdy pojawia się zgłoszenie o pożarze, informacja trafia do punktu alarmowo-dyspozycyjnego Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, skąd wychodzi decyzja o zadysponowaniu maszyny.

Dyżur pilotów trwa przez pół roku, siedem dni w tygodniu. Do zmroku, bo nocnych akcji gaśniczych się nie wykonuje, choć sama maszyna jest przystosowana do latania w nocy. Gaszenie lasu z małej wysokości po zmroku to jednak inna kategoria ryzyka, a nawet za dnia margines błędu jest niewielki.

- Nie ma jednej prostej zasady, jak duży musi być pożar, żeby ruszył Dromader - wyjaśnia Marcin Berlik. - Czasem wystarczy małe zarzewie w newralgicznym punkcie. Ale czynników jest wiele - dostępność terenu, wiatr, rodzaj lasu, odległość strażaków, możliwości dojazdu i to, czy ogień dopiero się zaczyna, czy zdążył już nabrać siły. W jednej dyrekcji samolot może być wysyłany szybciej, w innej dopiero wtedy, gdy sytuacja wygląda poważniej, wiele zależy od lokalnej doktryny.

W gorące weekendy dochodzą loty patrolowo-gaśnicze. Dromader leci wtedy po określonej trasie już z wodą na pokładzie. Ma wypatrywać dymu i w razie potrzeby działać. W Toruniu system uzupełnia Aeroklub Toruński, który wykonuje loty patrolowe Cessną.

Legenda z Mielca

W przypadku samolotów czas odmierza się inaczej niż w przypadku samochodów. Pierwsze próby Dromadera odbywały się w połowie lat siedemdziesiątych, a produkcja ruszyła pod koniec tej dekady. Ale konstrukcje sprzed kilku dekad nadal są podstawowym wyposażeniem w wielu hangarach na świecie. Dość powiedzieć, że F-16 czy Hercules również są konstrukcjami z tamtych lat. Ważne jest to, czy maszyna nadal skutecznie wypełnia zadania.

Wiktor Solarski, mechanik dyżurujący w Toruniu jest entuzjastą tej konstrukcji i skarbnicą wiedzy na jej temat:

- Wyprodukowano 759 Dromaderów. Trafiły do 24 krajów i latały na wszystkich kontynentach poza Antarktydą. Bo tam trudno o pożar.

Dromader był inspirowany amerykańskim Thrush Commanderem - samolotem rolniczym. W Mielcu zmieniono jednak mocno amerykańską konstrukcję, a całość prac prowadzono w całkowitej tajemnicy przed „radzieckimi przyjaciółmi". Obawiano się, ze sowieci doprowadzą do wygaszenia projektu.

Potężny silnik o mocy 1000 koni mechanicznych to ta sama jednostka, którą montowano w An-2. Lotnicy mówią o nim z zaufaniem, bo Antonowów powstały tysiące, a silnik przez dekady pracował w różnych warunkach.

- Jest sprawdzony pod każdym względem i naprawdę niezawodny - zapewnia Solarski.

Sama konstrukcja samolotu jest marzeniem każdego mechanika - prosta i dostępna obsługowo. Mechanik ma łatwy dostęp do wszystkich podstawowych funkcji samolotu, a całość rozbiera się w prosty sposób. To ważne, bo każdej zimy Dromadery wracają do Mielca i tam przechodzą gruntowne przeglądy przed kolejnym sezonem.

- Każdy jest co roku rozbierany do gołej kratownicy - precyzuje Berlik.

Bez mechanika nie ma lotu

Dromader pracuje zawsze w układzie pilot i mechanik.

- Pilot bez mechanika nie jest w stanie zbyt wiele zdziałać - wyjaśnia Marcin Berlik. - Mechanik musi przygotować samolot, dopuścić go do lotu i dopiero wtedy ja mogę wykonać przegląd przedstartowy

W starszych Dromaderach nie przewidziano miejsca dla drugiej osoby. Późniejsze miały

eprasa.pl df8e3d5e19

niewielkie siedzenie za pilotem. Siedzi się tam tyłem do kierunku lotu, w mało komfortowych warunkach, ale w ten sposób można przewieźć mechanika podczas przebazowania. Podczas akcji gaśniczej mechanik zostaje na ziemi.

Gdy dzwoni telefon z poleceniem wylotu, pilot dostaje współrzędne pożaru i podstawowe informacje. Zakłada kombinezon, sięga po butelkę wody i pędzi do maszyny. Dromader jest przygotowany do startu od rana, ale przed startem zostaje jeszcze ostatnia kosmetyka.

Część informacji przychodzi, gdy samolot jest już w powietrzu: z kim się łączyć, czy na miejscu jest leśnik z radiostacją, z której strony wykonać zrzut, na jakiej wysokości lecieć i czy po drodze trzeba przejść przez przestrzeń kontrolowaną. Dromader wykonuje lot ratowniczy, więc kontrolerzy i informatorzy służb ruchu lotniczego pomagają w przejściu przez przestrzeń. Gdy trzeba lecieć nad poligon, gdzie odbywa się strzelanie, uruchamiana jest procedura wstrzymania działań. Inne statki powietrzne mają obowiązek ustąpić pierwszeństwa.

Pan Dromader

Wielu doświadczonych pilotów nie odważyłoby się wsiąść za stery Dromadera. Żeby rozpocząć szkolenie do lotów gaśniczych, trzeba mieć na koncie co najmniej najmniej 500 godzin za sterami jako dowódca lotu. Kandydaci do linii lotniczych, którzy zaczynają drogę jako pierwsi oficerowie, często mają znacznie niższy „nalot".

Najpierw pilot uczy się latać pustym Dromaderem.

- Już samo to jest wymagające – przyznaje Marcin Berlik. - Przed pierwszymi lądowaniami Dromaderem czułem niepewność, której nie pamiętałem od czasów pierwszych samodzielnych lotów szybowcowych. Z wodą w zbiorniku Dromader zachowuje się po swojemu. Niby są przegrody, ale na początku szkolenia, gdy pilot nie ma jeszcze wyczucia, woda potrafi przemieszczać się do przodu i do tyłu - jak w wannie. Przy starcie może zachlapać szybę tak, że przez parę sekund nic nie widać.

- Antek lata sam, byle mu nie przeszkadza – śmieje się Wiktor Solarski. - Dromader to już Pan Dromader.

Wszystko za sprawą dużego ciężaru, mocnego silnika, szerokich skrzydeł i zbiornika, który – w zależności od stanu napełnienia – radykalnie zmienia zachowanie maszyny. Już z pustym jest wymagający, ale po napełnieniu wodą wymaga od pilota maksymalnej koncentracji.

Pilot rozpoczyna trening z niewielką ilością wody, zwykle 200, 300 litrów. Zrzuty wykonuje z dużej wysokości, nawet 200-300 metrów, dzięki czemu przy błędzie pozostaje duży zapas. Później ilość wody rośnie: 500 litrów, 800, 1200, aż do dwóch ton, a jednocześnie maleje wysokość zrzutu.

W praktyce bomba wodna schodzi często z około 20 metrów. Na tej wysokości nie ma miejsca na siłowanie się z samolotem. Gdy zrzuca się dwie tony wody, samolot potrafi wyskoczyć kilkadziesiąt metrów w górę. Zmienia się też wyważenie. Zbiornik jest z przodu, więc po opróżnieniu środek ciężkości przesuwa się do tyłu, a nos samolotu pruje w górę.

Bomba, która łamie drzewa

Zrzut bomby wodnej jest najbardziej widowiskowy. W Dromaderze działa mechaniczny układ - pilot popycha dźwignię, otwiera się dennica zbiornika i około dwóch ton wody schodzi w mniej więcej półtorej sekundy. Tę technikę stosuje się przy gaszeniu lasu, kiedy trzeba uderzyć dużą ilością wody w konkretny punkt.

Inną techniką jest smużenie: samolot leci bardzo nisko, około dwóch metrów nad ziemią, i przez specjalną klapkę wypuszcza wodę albo środek gaśniczy. Tę metodę stosuje się na polach, trzcinowiskach i w miejscach, gdzie nie chodzi wyłącznie o położenie pasa izolacyjnego, który przez kilkanaście minut ogranicza przejście ognia. Jeśli zostanie położony dobrze i wystarczająco blisko pożaru, ogień wypali się, zanim pas zdąży wyschnąć.

W lesie wysokość i sposób zrzutu dobiera się do sytuacji - jeśli ogień jest silny, trzeba wejść nisko i mocno. Jeśli trwa dogaszanie pożarzyska, można zrzucić wodę z większej wysokości, żeby rozłożyć ją na większej powierzchni. Każdy zrzut trzeba jednak skoordynować z ludźmi na ziemi, bo podstawą jest bezpieczeństwo. Bomba wodna ma potężną energię, potrafi złamać dorosłą sosnę. Nie może więc spaść na strażaków i sprzęt, nie może rozrzucić żaru w złą stronę.

Lasy czuwają nad niebem

Piloci gaśniczy pracujący dla Lasów Państwowych nie są wpięci w system łączności Państwowej Straży Pożarnej. W samolocie mają radiotelefon Lasów Państwowych i za jego pośrednictwem mogą rozmawiać z regionalnym punktem alarmowo-dyspozycyjnym albo z punktem w nadleśnictwie. Jeśli na miejscu jest leśnik lub strażnik leśny z radiostacją, może przekazywać informacje między kierującym działaniem ratowniczym a pilotem. Jeśli go nie ma, droga informacji się wydłuża. Pilot łączy się z punktem alarmowo-dyspozycyjnym Lasów Państwowych, ten dzwoni do stanowiska kierowania komendy powiatowej PSP. Strażak z komendy łączy się z dowódcą na miejscu. Informacja wraca tą samą drogą.

W Polsce lotnictwo gaśnicze w praktyce utrzymują wyłącznie Lasy Państwowe. To one kontraktują samoloty, płacą za dyżury, organizują system i dysponują maszynami. Jeżeli lecą do pożaru pola, prywatnego lasu, składowiska odpadów czy innego obiektu, dzieje się to dzięki decyzji i dobrej woli Lasów Państwowych.

- Nie jesteśmy ujęci w krajowym systemie ratowniczo-gaśniczym. To błąd – nie kryje żalu Marcin Berlik. - Gdyby samoloty były szerzej włączone w system i mogły być dysponowane przez straż pożarną także do innych zdarzeń – pożaru składowisk odpadów i opon czy hal produkcyjnych, czyli miejsc trudnych do opanowania tylko z ziemi. Takie akcje już się w Polsce zdarzały, ale raczej jako wsparcie uruchamiane przy współpracy z Lasami Państwowymi, a nie stały element systemu.

Problemem są np. pożary na poligonach, które zdarzają się z dużą regularnością. Gdy pali się teren najeżony niewybuchami, strażacy nie zawsze mogą zbliży się do ognia.

Gdzie nie wejdzie strażak

Na pilota dromadera czeka cały zestaw zagrożeń. W ogniu wybuchają szyszki, „strzela" żywica, w powietrzu pojawiają się fragmenty gałęzi. Do tego należy dopisać zadymienie i nagłe podmuchy.

Berlik:- Bardzo łatwo jest wpakować się w linię energetyczną, wieżę kościoła albo stację GSM.

Zrzut z 20 metrów oznacza, że pilot przechodzi nad miejscem, w którym przeciwko sobie ma nie tylko języki ognia, ale i masy gorącego powietrza. Jednak gdyby zrzucił wodę z 300 metrów, duża jej część nie dotarłaby skutecznie na ziemię.

Trzy minuty na odpoczynek

Zarówno w Polsce jaki w naszej części Europy nie używa się maszyn, które w locie czerpią wodę z dużych akwenów, tak jak samoloty znane z nagrań z Kanady, Grecji czy Hiszpanii. Do tego potrzebne są długie odcinki stosunkowo spokojnej wody.

Tankowanie Dromadera trwa około dwóch minut. Z zatrzymaniem, podłączeniem i ponownym startem całość można zamknąć w trzech, czterech minutach. Paliwo daje około trzech i pół godziny pracy. Gdy trzeba je uzupełnić, mechanik czeka już przy samolocie. Pilot ma wtedy chwilę na łyk wody, batonik i sprawy fizjologiczne.

Godzina pracy samolotu gaśniczego to duży koszt - około 20 tys. zł za godzinę operowania w ramach akcji (z kosztem utrzymania bazy, samolotu i załogi przez cały sezon).

- Jeśli jednak zrzut zatrzyma ogień w zarodku, zanim wejdzie w zwarty kompleks, oszczędzamy nie tylko drzewa, ale i godziny pracy strażaków, dojazdy, sprzęt – podkreśla pilot z mieleckiej firmy. - Ograniczamy ryzyko dla ludzi, straty przyrodnicze i wszystko, co może stać na drodze ognia.©℗



FOT. ADAM WILLMA

Mechanik ma łatwy dostęp do wszystkich podstawowych funkcji samolotu, a całość rozbiera się w prosty sposób. To ważne, bo każdej zimy Dromadery wracają do Mielca i tam przechodzą gruntowne przeglądy przed kolejnym sezonem. Na zdjęciu mechanik, Wiktor Solarski



FOT. ADAM WILLMA

- Dromader waży około 2700 kilogramów, a z paliwem i wodą może dojść do 5300 kilogramów masy startowej – mówi pilot Marcin Berlik z Mieleckich Zakładów Lotniczych

eprasa.pl df8e3d5e19

Polska
Poniedziałek, 6.07.2026



FOT. UNIVERSAL ARCHIVE/UIG ART AND HISTORY/EAST NEWS

W roku 1988 bez zgody papieża Jana Pawła II Marcel Lefebre wyświęcił czterech biskupów, za co ściągnął na siebie ekskomunikę latae sententiae

SCHIZMA ABP. LEFEBVRE'A POWRACA PO 38 LATACH

Pomimo hojnych starań świętych Pawła VI i Jana Pawła II, decyzji Benedykta XVI o uchyleniu ekskomuniki oraz uprawnień przyznanych przez Franciszka, w wyniku niegodziwych święceń dokonanych wbrew woli papieża Bractwo Kapłańskie ponownie odłącza się od Rzymu

Andrea Tornielli

To burzliwa historia, pełna wielkodusznych starań, otwartych drzwi i ofiarowanych szans. To bolesna historia, naznaczona dwoma poważnymi rozłamami, które doprowadziły Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X, założone przez arcybiskupa Marcela Lefebvre'a, do odłączenia się od papieża i zerwania komunii z Kościołem rzymskim poprzez dokonanie schizmatyckiego aktu - polegającego na wyświęceniu biskupów bez papieskiego upoważnienia i wbrew woli Namiestnika Chrystusa.

Rozłam, który nastąpił 1 lipca, ma poważne konsekwencje nie tylko dla biskupów i księży Bractwa, ale dla wszystkich wiernych, ponieważ - jak czytamy w nocie wyjaśniającej Dykasterii ds. Doktryny Wiary - księża z Bractwa Kapłańskiego „sprawują sakramenty niegodziwie, a sakrament pokuty przez nich udzielany oraz małżeństwa, przy których asystują, są nieważne".

Decyzje Lefebvre'a

Podczas Soboru Watykańskiego II francuski arcybiskup Marcel Lefebvre, należący do mniejszości soborowej sprzeciwiającej się niektórym reformom, złożył swój podpis pod Konstytucją o liturgii (Sacrosanctum Concilium), a także pod Deklaracją o wolności religijnej (Dignitatis humanae).

Warto również przypomnieć, że abp Lefebvre odprawiał Mszę z 1965 roku, zawierającą pierwsze, wciąż eksperymentalne reformy liturgiczne. Po założeniu w 1970 r. Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X, posiadającego własne seminarium w Écône, w szwajcarskiej diecezji Lozanny, Genewy i Fryburga, oraz po zatwierdzeniu przez biskupa diecezjalnego François Charrière'a, abp Lefebvre odmówił sprawowania Mszy według nowego mszału rzymskiego, a w 1974 r. określił zmiany wprowadzone przez ostatni Sobór jako „niszczące Kościół nowinki".

„Odrzucamy" - oświadczył na piśmie 21 listopada 1974 r. - „i zawsze odrzucaliśmy podążanie za Rzymem o tendencjach neomodernistycznych i neoprotestanckich, które wyraźnie doszły do głosu podczas Soboru Watykańskiego II oraz po nim, we wszystkich reformach, które z niego wyniknęły. Wszystkie te reformy w rzeczywistości przyczyniły się i nadal przyczyniają się do zniszczenia Kościoła..." .

Pomimo uchylenia diecezjalnej zgody na działanie Bractwa, Stolica Apostolska szuka dialogu z arcybiskupem: Paweł VI powołuje komisję, by wysłuchać postulatów abp. Lefebvre'a, i w 1975 r. prosi go o zamknięcie seminarium w Écône i wstrzymanie się od wyświęcenia nowych księży. Trzykrotnie papież Montini pisze do arcybiskupa i wysyła zaufanych hierarchów, by odwiedzili siedzibę tradycjonalistów. Po kolejnej odmowie abp Marcel Lefebvre zostaje suspendowany, wyniku czego nie może już sprawować Mszy świętej.

Mimo to w sierpniu tego samego roku, w obecności dziesięciu tysięcy wiernych i czterystu dziennikarzy, przewodniczy Mszy Świętej, której sprawowanie zostało mu zakazane czym wywołuje ogromny rozgłos w mediach.

We wrześniu 1976 roku abp Lefebvre zostaje przyjęty na audiencji przez papieża w Castel Gandolfo, rozmowa nie przynosi jednak żadnych rezultatów.

Również we wrześniu 1976 r., w rozmowie z francuskim filozofem Jeanem Guittonem który poprosił papieża, by uczynił „wszystko, co możliwe i niemożliwe, aby uniknąć schizmy", Paweł VI odpowiada: „Czuję to dokładnie tak samo jak pan. A nawet nieskończenie bardziej niż pan: jest to pierwszy prawdziwy krzyż w ciągu trzynastu lat mojego pontyfikatu. Mogę jednak powiedzieć panu, że uczyniłem wszystko, co możliwe, aby tego uniknąć". I dodaje: „Nie wiem jak za kilka miesięcy ten brak jedności miałby nie doprowadzić do ekskomuniki".

Tak się jednak nie stanie. Nie miną miesiące, ale kilkanaście lat, pomimo nieustannie wyciągniętej ręki Następcy Piotra.

Porozumienie doktrynalne podpisane abp. przez Lefebvre'a

Po wyborze Jana Pawła II abp Lefebvre wydaje się patrzeć na Rzym innymi oczami: 18 listopada 1978 r. zostaje przyjęty na audiencji, a w liście z 8 marca 1980 r., skierowanym do Papieża, pisze, że nie ma „żadnych wątpliwości co do godziwości i ważności Waszego wyboru" oraz że „nigdy nie twierdził", iż Msza posoborowa „jest sama w sobie nieważna lub heretycka".

Porozumienie mające na celu doprowadzenie do przynajmniej częściowej zgody oraz zniesienie suspensy wydaje się możliwe dziesięć lat po spotkaniu Janem Pawłem II, w kwietniu 1988 roku. Kard. Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary oraz jej sekretarz, abp Alberto Bovone, przez trzy dni (od 11 do 13 kwietnia) osobiście prowadzą niełatwe rozmowy z abp. Lefebvrem i jego współpracownikami.

Najbardziej znaczącą zachętą jest ta, która nadchodzi w przeddzień spotkania od samego Papieża. Bawarskiemu kardynałowi, dzięki cierpliwości i inteligencji, udaje się doprowadzić do podpisania wspólnego protokołu doktrynalnego. Tekst zostaje dopracowany podczas spotkania, w Rzymie 4 maja 1988 r., a następnego dnia podpisują go kard. Ratzinger i abp Lefebvre.

W tekście tym arcybiskup oraz członkowie Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X obiecują „zawsze pozostawać wiernymi Kościołowi katolickiemu i Papieżowi"; oświadczają, że „akceptują nauczanie zawarte w punkcie 25. Konstytucji dogmatycznej Lumen gentium Soboru Watykańskiego II dotyczącym Magisterium Kościoła i należnemu mu posłuszeństwa"; zobowiązują się „przyjąć pozytywną postawę i dążyć do dialogu z Stolicą Apostolską, unikając wszelkiej polemiki" w odniesieniu do niektórych punktów nauczania soborowego lub dotyczących późniejszych reform liturgii i prawa kościelnego, które tradycjonalistom wydają się „trudne do pogodzenia z Tradycją".

„Oświadczamy ponadto" - czytamy w protokole - „że uznajemy ważność Ofiary Mszy Świętej i sakramentów sprawowanych z zamiarem czynienia tego, co czyni Kościół" zgodnie z obrzędami zatwierdzonymi przez Pawła VI i Jana Pawła II.

W tekście porozumienia poruszono również inne kwestie: Bractwo Kapłańskie miało stać się stowarzyszeniem życia apostolskiego, ciesząc się w ten sposób pełną autonomią, a ze „względów praktycznych i psychologicznych uznaje się za pożyteczne wyświęcenie na biskupa jednego z członków Bractwa Kapłańskiego". Problem wydaje się rozwiązany.

Pierwszy akt schizmy

Jednak nagle, rankiem 6 maja 1988 r., francuski biskup zrywa negocjacje, zmienia zdanie i prywatnie informuje kard. Ratzingera, że 30 czerwca zamierza wyświęcić nowych biskupów. Wydaje się, że o zachowaniu abp. Lefebvre'a zadecydowało przekonanie, że Stolica Apostolska nie znalazła wśród duchownych Bractwa Kapłańskiego osób nadających się do biskupstwa, a także obawa, że nowy biskup pochodziłby spoza Bractwa.

Kolejne spotkanie, które odbyło się 24 maja, kończy się fiaskiem, a 2 czerwca abp Lefebvre pisze do Jana Pawła II, informując go o swojej zdumiewającej decyzji: on i jego zwolennicy zamierzali poczekać

eprasa.pl df8e3d5e19



FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS

1 lipca 2026 roku. Lefebryści w procesji poprzedzającej schizmatycką konsekrację biskupów w Ecône w zachodniej Szwajcarii. 30 czerwca 2026 roku papież Leon XIV wezwał Bractwo do porzucenia planów

na „bardziej sprzyjający moment na powrót Rzymu do tradycji", modląc się, aby „dzisiejszy Rzym, dotknięty modernizmem, ponownie stał się Rzymem katolickim".

29 czerwca, dwadzieścia cztery godziny przed zapowiedzianymi święceniami, kard. Ratzinger wysyła telegram zaadresowany do arcybiskupa: „Z miłości do Chrystusa i Jego Kościoła Ojciec Święty prosi Waszą Ekscelencję w sposób ojcowski i stanowczy, by Ksiądz Arcybiskup przybył dzisiaj do Rzymu, nie przystępując do zapowiedzianych na 30 czerwca święceń biskupich".

Jednak abp Lefebvre podjął już decyzję i następnego dnia, w obecności sędziwego brazylijskiego biskupa diecezji Campos, Antonio de Castro Mayera, wyświęca na biskupów czterech księży Bractwa: Bernarda Fellaya, Alfonsa de Galarretę, Richarda Williamsona i Bernarda Tissiera de Malleraisa. Za dopuszczenie się aktu schizmatyckiego konsekrujący i konsekrowani 1 lipca zostają objęci ekskomuniką latae sententiae.

Zawarte w 1988 r. porozumienie doktrynalne między kard. Ratzingerem a tradycjonalistami z Écône zostało unieważnione z powodów czysto praktycznych. Podczas gdy Stolica Apostolska, w negocjacjach, które nastąpią w kolejnych latach, wykaże gotowość do daleko idących ustępstw dotyczących rozwiązania kanonicznego, lefebryści nadal będą uważać, że problemem jest brak „jasności doktrynalnej", domagając się w rzeczywistości, by to Kościół katolicki i Papież zrezygnowali z części postanowień Soboru i nauczania posoborowego.

Pielgrzymka w 2000 roku i ustępstwa Benedykta

Próba pojednania z Bractwem Kapłańskim Świętego Piusa X zostaje wznowiona w sierpniu 2000 roku. Lefebryści przybywają do Rzymu na jubileuszową pielgrzymkę i przechodzą przez Plac św. Piotra. Bp Fellay, w towarzystwie kard. Darío Castrillóna Hoyosa, przewodniczącego komisji Ecclesia Dei, zostaje przyjęty na kilka minut przez Jana Pawła II.

Kontakty trwają i nasilają się po wyborze Benedykta XVI, który dwoma decyzjami podjętymi w odstępie dwóch lat wychodzi naprzeciw prośbom tradycjonalistów. 7 lipca 2007 r. publikuje Motu proprio Summorum Pontificum, zezwalające na używanie rzymskiego mszału z 1962 r., sprzed Soboru, który tym samym zostaje uznany za nadzwyczajną formę liturgii Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego.

24 stycznia 2009 r. Papież uchyla ekskomunikę z 1988 r. nałożoną na czterech biskupów wyświęconych niegodziwie przez abp. Lefebvre'a. Dekret o uchyleniu ekskomuniki jest jednostronnym aktem pojednania, który kończy istnienie mini-schizmy i otwiera drzwi do dialogu z Bractwem Kapłańskim Świętego Piusa X.

Ogłoszenie tej decyzji niestety poprzedziła emisja wywiadu z jednym z biskupów Bractwa, Richardem Williamsonem, który w listopadzie poprzedniego roku, przebywając w Niemczech, w rozmowie ze szwedzką stacją telewizyjną wygłosił poglądy negujące eksterminację Żydów w komorach gazowych przez nazistów. Wywiad ten wywołuje bardzo ostrą krytykę pod adresem Benedykta XVI, który wyraził nadzieję, że po cofnięciu ekskomuniki biskupi Bractwa podejmą „niezwłocznie dalsze kroki, konieczne do urzeczywistnienia pełnej komunii z Kościołem, dając w ten sposób świadectwo prawdziwej wierności i prawdziwego uznania Magisterium oraz władzy Papieża i Soboru Watykańskiego II".

Preambuła z 2011 roku i uprawnienia dane przez Franciszka

Mijają lata, a we wrześniu 2011 roku, po zakończeniu serii rozmów doktrynalnych – zainicjowanych przez Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X – Stolica Apostolska przedstawia krótki dokument, prosząc lefebrystów o jego podpisanie. Tekst zawiera zasadniczo trzy punkty oraz prośbę o podpisanie „wyznania wiary", wymaganego od każdego, kto obejmuje jakikolwiek urząd kościelny, będącego gwarancją „religijnego posłuszeństwo woli i umysłu" wobec nauk, które Papież i Kolegium biskupów „głoszą, sprawując autentyczny Urząd Nauczycielski", nawet jeśli nie są one ogłaszane w sposób dogmatyczny, jak ma to miejsce w przypadku większości dokumentów Magisterium.

Podpisanie preambuły – powtarzają władze kościelne – nie oznaczało zakończenia „uzasadnionej dyskusji, studiów i teologicznego wyjaśniania poszczególnych sformułowań lub wyrażeń zawartych w dokumentach Soboru Watykańskiego II". Jednak również ta próba kończy się fiaskiem: bp Fellay uznaje proponowany tekst doktrynalny za nie do przyjęcia.

W kolejnych latach, odkładając na bok kwestie doktrynalne, rozważano rozwiązania kanoniczne – takie jak administratura apostolska czy prałatura personalna – jednak bp Fellay, ówczesny przełożony lefebrystów, daje do zrozumienia, że „Bractwo Kapłańskie nie dąży przede wszystkim do zatwierdzenia kanonicznego".

W międzyczasie zmienili się rozmówcy, na Stolicy Piotrowej zasiadł Papież Franciszek. Z okazji Jubileuszu Miłosierdzia w 2016 roku przyznał on kapłanom Bractwa specjalne uprawnienia do słuchania spowiedzi i udzielania wiernym ważnego rozgrzeszenia. Decyzja ta miała na celu zjednoczenie wiernych, a poprzez list apostolski Misericordia et misera uprawnienie to zostało przedłużone na stałe, wykraczając poza okres nadzwyczajnego Roku Świętego.

Chociaż ekskomunika nałożona na ich biskupów została już zniesiona w 2009 roku, księża lefebryści nadal działali poza oficjalną jurysdykcją zwyczajną Kościoła rzymskokatolickiego. Tym aktem Franciszek pragnął otworzyć się na dialog i pojednanie duszpasterskie, mając na uwadze przede wszystkim dobro wiernych przywiązanych do Bractwa.

Nowa schizma, nieważne spowiedzi i małżeństwa

2 lutego 2026 r. Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X ogłasza, że 1 lipca zostaną wyświęceni nowi biskupi. 12 lutego przełożony Bractwa Kapłańskiego, ks. Davide Pagliarani, zostaje przyjęty w Rzymie przez kard. Víctora Manuela Fernándeza, prefekta Dykasterii Nauki Wiary. Prefekt zaproponował lefebrystom „ścieżkę dialogu o charakterze ściśle teologicznym, opartym na precyzyjnie określonej metodologii, dotyczącą zagadnień, które nie zostały jeszcze wystarczająco doprecyzowane", aby wskazać „minimalne warunki niezbędne do pełnej komunii z Kościołem katolickim" oraz rozwiązanie kanoniczne: „Możliwość prowadzenia tego dialogu zakłada, że Bractwo zawiesi decyzję o ogłoszonych święceniach biskupich".

Pomimo wielokrotnych apeli i ostrzeżeń, by nie przystępować do nowych święceń biskupich, pomimo wielokrotnych zaproszeń do dialogu, lefebryści słowami wyznają posłuszeństwo Następcy Piotra, ale w rzeczywistości nie pozostawiają żadnej furtki ani nie biorą pod uwagę próśb Następcy Piotra i kontynuują swoje zamierzenia, co prowadzi do nowej schizmy.

Odpowiadając na pytanie dziennikarzy w Castel Gandolfo, Leon XIV stwierdził 16 czerwca: „Oczywiście podziały między chrześcijanami są zawsze bolesne, jednak oni odmawiają przyjęcia pewnych fundamentalnych elementów nauczania Kościoła, począwszy od różnych punktów Soboru Watykańskiego II. Jeśli dokonują takiego wyboru, jest mi z tego powodu przykro, ale musimy iść naprzód".

AKCJA CHARYTATYWNA

0011544302



eprasa.pl df8e3d5e19

Polska
Poniedziałek, 6.07.2026

– Po zbadaniu siedemdziesiątej pacjentki byłam wściekła. Na niesprawiedliwość świata, na bezradność tych kobiet i na to, jak łatwo żyje się nam – mówi dr Anna Paczkowska, ginekolog z Poznania, która od kilku lat wyjeżdża na misje medyczne do Afryki

Sylwia Rycharska

„TAM DZIECI UMIERAJĄ Z POWODU ZWYKŁEJ NITKI"

Była dwa razy na Madagaskarze, pięć razy w Republice Środkowoafrykańskiej i dwa razy w Tanzanii. W październiku, wyruszy do Brazylii, gdzie wraz z zespołem lekarzy będzie pracować w dorzeczu Amazonki. Przez lata badała kobiety w afrykańskim buszu, szkoliła akuszerki, operowała w szpitalach bez podstawowego wyposażenia i obserwowała świat, w którym narodziny dziecka wciąż mogą oznaczać wyrok śmierci dla matki.

To nie jest opowieść o egzotycznej przygodzie. To historia o kobietach, których życie wyznaczają bieda, brak edukacji i system, który często pozostawia je same.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Anna Paczkowska wyjeżdża na misje do Afryki od kilku lat. Jedna misja trwa około 3 tygodni. W październiku wyjeżdża na kolejną – tym razem w inny kierunek – do Brazylii. Z zespołem będzie pracować w dorzeczu Amazonki

Droga bez drogi

Najpierw była zwykła wycieczka na Madagaskar.

- Zawsze chciałam pojechać na misję, ale nie odpowiadały mi sztywne zasady dużych organizacji przygotowują takie wyjazdy. Chciałam działać na własnych warunkach - wspomina dr Paczkowska.

Po powrocie zaczęła szukać kontaktów. Tak trafiła do Fundacji Ankizy Gasy - Dzieci Madagaskaru, prowadzonej przez Polki - Patrycję Malik i Katarzynę Białous i do polskiej misjonarki, siostry Iwony Korniluk, pracującej w miejscowości Berevo, położonej głęboko w buszu, nad rzeką Tsiribihina.

Do wioski nie prowadziła żadna droga.

- Żeby tam dotrzeć, trzeba było wynająć statek. Powiedziałam wtedy: „Wynajmę statek. Będę mogła kiedyś opowiadać wnukom, że babcia wynajęła statek na Madagaskarze" - mówi z uśmiechem nasza rozmówczyni.

Statek okazał się niewielką łodzią, którą miejscami trzeba było przepychać przez mieliziny. Ale dopłynęli.

Na miejscu rozpoczęły się badania kobiet, edukacja zdrowotna i drobne zabiegi wykonywane w znieczuleniu miejscowym w warunkach dalekich od szpitalnych standardów.

Temperatura sięgała 40 stopni. Aparat USG po kilku badaniach przegrzewał się tak bardzo, że trzeba było wynosić go na zewnątrz. Za dużo to nie pomagało, bo na dworze było jeszcze cieplej.

- Następnym razem kupiliśmy wentylator, który chłodził aparat USG. Brakowało sprzętu, leków i podstawowych materiałów medycznych - opowiada.

- Człowiek był skazany na swoje ręce, doświadczenie i improwizację - dodaje.

Jedna z malgaskich historii wraca do niej do dziś. Do punktu medycznego przyszła młoda kobieta w ciąży. Nie wiedziała, w którym jest tygodniu. Nie czuła ruchów dziecka.

- Dno macicy było na wysokości pępka, co sugerowało 24. tydzień. Ale kto to może wiedzieć... W Polsce rozwiązanie byłoby proste: badanie USG, konsultacja, decyzja.

Tam sprzęt praktycznie nie działał.

- Nie wiedziałam, czy dziecko żyje, czy nie. Gdyby obumarło, mogła umrzeć również matka - mówi dr Paczkowska.

Miejscowa położna nie miała możliwości wykonania dodatkowych badań. Kobieta została więc na noc w jej domu. Jeżeli pojawiłaby się gorączka, trzeba byłoby działać. Jeżeli poczułaby ruchy dziecka - pozostałoby czekać na poród.

Innym z dramatycznych wspomnień pozostaje historia młodej Malgaszki. Miała 18 lat. Poród rozpoczął się w lesie. Trwał dwa dni. Bez efektu. W końcu rodzina zaczęła szukać pomocy. Najpierw niesiono ją na rękach. Potem wozem ciągniętym przez zwierzęta, przewieziono ją do szpitala kierowanego przez inną polską misjonarkę - siostrę Małgorzatę Langner. Dziecko nie przeżyło. Po ratunkowym cięciu cesarskim dziewczyna krwawiła, miała krwisty mocz i rozległe obrażenia pochwy.

- W szpitalu nie było ginekologa. Tam cięcia cesarskie wykonuje chirurg. Myśmy akurat przypadkiem byli w stolicy - Antananarywie, około 4 godziny drogi od tego szpitala. Pojechaliśmy tam - mówi.

- Siedziałam przed nią i myślałam: „Po co ja tu w ogóle przyjechałam? Przecież nie dam rady" - dodaje.

Przy pomocy podstawowych narzędzi: plastikowego wziernika, pojedynczych gazików i podstawowych narzędzi próbowała ratować pacjentkę. Oczywiście bez znieczulenia.

- Dziewczyna cały czas się uśmiechała. Pytałam ją, czy wszystko w porządku. Odpowiadała: „Okej". Udało się ją uratować.

Inne doświadczenia miała w Tanzanii, gdzie pojechała z Fundacją „Africa Help" w rejony zamieszkane przez Masajów. Wraz z prezeską Krajowej Izby Diagnostów Laboratoryjnych, dr Moniką Pintal-Ślimak prowadziły edukację i tworzyły laboratorium.

- Nigdy wcześniej nie widziałam tylu chorób przenoszonych drogą płciową, zwłaszcza kiły i AIDS oraz groźnych pasożytów (tasiemców, glist ludzkich, węgorków jelitowych, rzęsistków pochwowych, zarodźców malarycznych) - wspomina.

W Polsce lek przeciwpasożytniczy - Albendazol - sprzedaje się w opakowaniach zawierających jedną tabletkę - w Tanzanii opakowanie zawiera 1000 tabletek.

Tanzania jest również krajem, w którym kobiety poddawano okaleczaniu żeńskich narządów płciowych. W niektórych plemionach zwyczaj ten jest nadal praktykowany.

- Widziałam młode dziewczyny po obrzezaniu. Zabieg ten może powodować znaczne problemy zdrowotne, na przykład nawracające, nie poddające się leczeniu infekcje układu moczowego, zbliznowacenia narządów płciowych i problemy przy porodach - opisuje poznańska ginekolog.

- Dla nas to niewyobrażalne, a co mnie bardzo uderzyło - dla większości obrzezanych kobiet, z którymi rozmawiałam, nie stanowiło to problemu. Ot, element tradycji. Jak u nas kiedyś dziewictwo przed ślubem - dodaje.

„Daj mi swoją sukienkę"

Dr Paczkowska przyznaje, że wielokrotnie podczas misji towarzyszyły jej złość, bezsilność i poczucie bezsensu.

Przywoziła leki, rękawiczki ochronne, materiały opatrunkowe, sprzęt. Generalnie wszystko, co było potrzebne do pracy. Zostawiała na miejscu aparaturę kupioną za własne pieniądze.

Po całym dniu pracy podeszła do niej jedna z pacjentek.

- Zaczęła mnie szarpać za ubranie i powiedziała: „Daj mi swoją sukienkę".

Kiedy odmówiła, usłyszała:

- „Daj, bo ty masz, a ja nie mam. Ty sobie kupisz". Pomyślałam wtedy: po co ja tu właściwie przyjechałam? Żeby wszystko rozdawać?

To właśnie wtedy zaczęła dojrzewać w niej myśl, że pojedyncze akcje medyczne nie wystarczą.

- Doszłam do wniosku, że jedyną rzeczą, która naprawdę może coś zmienić, jest edukacja.

Po latach wyjazdów jest przekonana, że największą wartość ma nie rozdawanie pieniędzy, lecz inwestowanie w ludzi. Za sprawą jednej z fundacji działających na Madagaskarze zaadoptowała wirtualnie dziewczynkę Oliwię. Opłaciła jej edukację i wspomagała finansowo jej życie. Po ukończeniu nauki młoda kobieta została położną. Założyła rodzinę i jednak porzuciła zawód.

eprasa.pl df8e3d5e19

Gdy Oliwia zaszła w ciążę, okazało się, że konieczne będzie cesarskie cięcie. Bez pieniędzy zabieg nie zostałby wykonany.

- Musiałam przesłać środki na operację, bo inaczej mogłaby umrzeć. Tam nawet podstawowa pomoc medyczna często zależy od tego, czy ktoś znajdzie pieniądze. W przeciwnym wypadku człowiek umiera pod szpitalem - mówi.

Później Oliwia coraz częściej prosiła jednak o kolejne wsparcie finansowe.

- Kiedy znów zażądała pieniędzy - tym razem na zakup domu - powiedziałam: „Dość". Część ludzi przyzwyczaja się do tego, że pomoc będzie przychodzić zawsze. To jest niestety mentalność części tamtejszej ludności.

Ale niektóre dziewczyny wykorzystały swoją szansę, jak Tatiana, „adoptowana" córka koleżanki lekarki, która kontynuuje naukę i pomaga dziś innym mieszkańcom swojej społeczności.

To właśnie dlatego nadal wraca do Afryki. Nie dlatego, że wierzy, że uratuje świat.

- Świata nie zbawię. Ale może uda się pomóc jednej osobie. A ona pomoże następnej. Pomaganie trochę uzależnia. Wracasz zmęczony, czasem zły, czasem rozczarowany. A potem i tak jedziesz znowu. Tam człowiek przypomina sobie, co naprawdę jest ważne.

Jesienią, z grupą lekarzy - dr Martyną Siąkowską (ginekolog), dr. Radkiem Sońtą (anestezjolog) i dr Alicją Kornacką (neonatolog - pediatra) - wyruszy do Brazylii.

- Popłyniemy 24 godziny z Manaus przez dorzecze Amazonki do odległych osad ukrytych w dżungli. Tam na nas czekają dwie polskie misjonarki - mówi.

- Językiem urzędowym w Brazylii jest portugalski, więc siostry będą z nami pracować jako tłumaczki. Siostra Jadzia Stawaruk jest mózgiem wyjazdu. Bardzo się cieszę, że pojedziemy z Martyną i Radkiem. To jest nasz kolejny wyjazd w tym składzie. Dobrze nam się razem pracuje i zawsze możemy na siebie liczyć przy stole operacyjnym. Alicja w tym roku do nas dołącza. I pewnie ona będzie miała najwięcej pracy, bo w miejscowości Maraa nigdy nie było pediatry - opisuje jesienne plany.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Anna Paczkowska wspomina, że aparat USG, który przywiozła ze sobą po kilku badaniach przegrzewał się do tego stopnia, że przestawał działać. Wynoszenie go na zewnątrz nie pomagało. Rozwiązaniem okazał się zakup wentylatora

Kraj, w którym umiera 850 matek na 100 tysięcy porodów

Największe wrażenie na dr Paczkowskiej zrobiły afrykańskie kobiety - a dokładniej ich postrzeganie siebie.

- Są pogodzone ze swoim losem. Bardzo słabo wyedukowane. Często nieufne, ale ta nieufność bierze się głównie ze strachu.

W wielu miejscach kobiety nie wiedzą, ile mają lat. Nigdy nie były badane przez ginekologa. Nie mają dostępu do badań prenatalnych. Nie znają podstawowych zasad higieny okołoporodowej.

Republika Środkowoafrykańska należy do najbiedniejszych państw świata. Choć posiada ogromne zasoby naturalne, od lat pozostaje krajem wyniszczanym przez konflikty i korupcję.

- Nie ukrywam, że szczególny sentyment mam do Republiki Środkowoafrykańskiej. Tam czuję się naprawdę potrzebna. Do RŚA trafiłam za sprawą Izy Cywy, niesamowitej dziewczyny, która od kilkunastu lat mocno związana jest z tym krajem. Zna język francuski i lokalny język sango. Jest organizatorką naszych wyjazdów, naszą tłumaczką i dobrym duchem. Przez kilka lat była dyrektorką szpitala w miejscowości Bagandou, gdzie leczyła Pigmejów. Szczególne miejsce w jej sercu zajmują programy medyczne mające poprawić los kobiet.

W RŚA ciąże prowadzi się często tylko przy pomocy centymetra krawieckiego.

- Mierzy się wielkość macicy od spojenia łonowego przez pępek do jej dna. Na tej podstawie ocenia się rozwój ciąży. Badanie USG jest dla większości kobiet czymś całkowicie niedostępnym. Opieka okołoporodowa nie istnieje.

Najbardziej przerażające są jednak statystyki.

- W Polsce umierają trzy matki na sto tysięcy porodów. Tam około 850. To jedna z najwyższych umieralności okołoporodowych na świecie. Na cały kraj przypada zaledwie 16 ginekologów - mówi.

Kobiety umierają z powodu krwotoków, zakażeń, powikłań porodowych i braku dostępu do pomocy medycznej.

Porody odbierają często tzw. matrony - lokalne akuszerki bez wykształcenia medycznego.

- To najczęściej kobieta, której matka albo babka też przyjmowała porody. I na tym kończy się jej przygotowanie. Właśnie dlatego Iza Cywa i kolejna fantastyczna osoba - położna Sara Suchowiak, stworzyły program „Bezpieczna Mama".

Jest to program skierowany do matron - akuszerek, mający nauczyć je bezpiecznego położnictwa. Dr Paczkowska dwukrotnie wyjeżdżała do RŚA w ramach tego projektu, wspierając położne w zakresie patologii porodu.

Początkowo próbowano prowadzić wykłady i testy. Szybko okazało się, że większość Afrykanek nie potrafi ani czytać ani pisać.

- Te kobiety nigdy wcześniej nie widziały termometru. Nie wiedziały też, jaka temperatura jest prawidłowa. Na aparatach do mierzenia ciśnienia i termometrach zaznaczałyśmy kolorami zielonym i czerwonym zakresy bezpieczne i niebezpieczne.

Szkolenia oparto na ćwiczeniach praktycznych. Na fantomach pokazywano, jak przebiega poród, co zrobić przy krwotoku, jak postępować przy porodzie pośladkowym czy bliźniaczym.

- One ustawiały się po kilka razy do tych samych ćwiczeń, aby jak najwięcej się nauczyć. Każdy z nauczycieli chciałby mieć tak zaangażowanych uczniów - podkreśla ginekolog.

Na koniec kursu odbywał się egzamin. Dla wielu uczestniczek był pierwszym w życiu.

- Strasznie się denerwowały. A po usłyszeniu wyniku cieszyły się jak dzieci.

Jedno wspomnienie pozostało szczególnie żywe.

- Jedna z kobiet wzięła białą lalkę noworodka, której używaliśmy do ćwiczeń resuscytacji - nie mogliśmy wtedy zdobyć czarnoskórego fantomu. Spojrzała, delikatnie pocałowała lalkę w główkę i się uśmiechnęła. Było to bardzo wzruszające - zaznacza.

Po szkoleniach matrony otrzymywały specjalnie przygotowane plecaki położnej z podstawowym wyposażeniem potrzebnym do bezpiecznego odbierania porodów. Nie zawsze jednak sprzęt trafiał do kobiet.

- W niektórych miejscach lokalne władze przejmowały te plecaki i sprzedawały je. To pokazuje skalę problemu. Czasem większym wyzwaniem niż brak sprzętu jest system, który nie pozwala wykorzystać pomocy zgodnie z przeznaczeniem.

Takie sytuacje sprawiają, że bezsilność często miesza się ze złością. Często, po kolejnych dniach badań i zbadaniu kilkudziesięciu pacjentek, wychodziła z gabinetu wściekła. Na zewnątrz czekało następnych tyle, wędrujących przez wiele kilometrów, koczujących pod drzewami, klęczących, błagających, aby ich nie ominąć i je zbadać.

- Byłam wściekła nie na te kobiety. Na niesprawiedliwość świata. Na to, że one rodzą i umierają w takich warunkach, a my jesteśmy wiecznie zgorzkniali i niezadowoleni i w ogóle nie zdajemy sobie sprawy, jakie mamy szczęście.

W Afryce problemów jest znacznie więcej. Dzieci często umierają z powodów, które dla Europejczyków wydają się niewyobrażalne. Pępowiny po porodzie są podwiązywane zwykłą nitką, często zabrudzoną ziemią. W ziemi znajdują się laseczki tężca - zakażenie nimi jest śmiertelne dla niezaszczepionych maluchów.

- Dzieci umierają z powodu zwykłej nitki. Wcześniaki najczęściej nie mają szans na przeżycie. Jeżeli noworodek nie oddycha po porodzie, wiele matron nie podejmuje żadnych działań, bo nigdy nikt nie nauczył ich tego - żadnych prób resuscytacji czy zwykłego ogrzania.

Operacje w 30 stopniach

Dr Paczkowska trzy razy wyjeżdżała również na misje operacyjne do RŚA. Zespół lekarski kwalifikował pacjentki do zabiegów i przeprowadzał operacje ginekologiczne.

Na salach operacyjnych temperatura przekraczała 30 stopni Celsjusza. Zdarzały się przerwy w dostawie prądu i wody. Krwi do przetoczeń często nie było.

- W Polsce zawsze można kogoś poprosić o pomoc. Pracujesz w zespole. Dookoła jest mnóstwo lekarzy różnych specjalności. Są laboratoria, sprzęt, narzędzia, leki. Jest również światło i woda. Tam jesteś sam. Jeśli sobie nie poradzisz, nikt ci nie pomoże, nikt nie zastąpi - tłumaczy.

- Dlatego tak ważne jest stworzenie zespołu, który może na siebie liczyć. Tam nie pracuje się na siebie. Nie ma miejsca dla ludzi mających parcie na szkło. Tam nikt nie tworzy tła dla drugiej osoby. Jest grupa, team. Każdy się wspiera i uzupełnia. Gdy ktoś ma gorszy dzień, jest odwodniony, ma biegunkę, objawy uboczne szczepień, leków, które przyjmujemy (przeciw AIDS, malarii), ledwo się trzyma na nogach - inni muszą o niego zadbać. Tam praca jest naprawdę trudna - wyjaśnia dalej.

Do dziś wspomina miejscowego młodego lekarza - Prince Yvan Mboka (miał niewiele ponad 30 lat) - jedynego lekarza w szpitalu w Bagandou.

- Był fantastycznym uczniem. Po kilku dniach wspólnej pracy zaczął samodzielnie wykonywać coraz bardziej skomplikowane operacje. Do tej pory często pracujemy razem. Prince wysyła nam zdjęcia na WhatsAppie, konsultuje z nami swoje pacjentki. To daje poczucie sensu. Jedna osoba może potem pomóc tysiącom kolejnych.

Później przyjechał także do Polski na dodatkowe szkolenia. Obserwował pracę na oddziałach, poznawał nowoczesne procedury i techniki operacyjne, których wcześniej nie miał okazji zobaczyć.

- To właśnie takie działania mają sens. Nie jednorazowa pomoc, ale przekazywanie wiedzy ludziom, którzy zostają na miejscu i mogą leczyć kolejnych pacjentów.

Lekarka nie ukrywa też rozczarowania sposobem, w jaki część międzynarodowej pomocy funkcjonuje w Afryce.

- Do Afryki płyną ogromne pieniądze. Tylko nie widać ich efektów.

Jak mówi, spotykała osoby zajmujące się zawodowo pomocą humanitarną, które więcej czasu spędzały na konferencjach i spotkaniach niż przy pacjentach.

- Widziałam wielu lekarzy, którzy pracowali w organizacjach humanitarnych. Jeździli luksusowymi samochodami, nosili drogie zegarki i zamiast zająć się konkretną pracą i pomocą, robili sobie dużo zdjęć, organizowali dużo spotkań i konferencji, które niczego nie zmieniały. A obok kobiety nadal rodziły bez podstawowej opieki. I umierały. Czasem mam wrażenie, że mniej mówić, a więcej działać przyniosłoby lepsze efekty - mówi.

„Gwałty są dla nich normalnością"

Ginekolog z Poznania zwraca uwagę, że jednym z najtrudniejszych tematów jest przemoc wobec kobiet.

- W wielu miejscach większość dziewcząt została zgwałcona. Jeszcze bardziej poraża mnie fakt, że same kobiety często nie traktują tego jako przemocy. To jest dla nich normalne. Tak wygląda życie.

W domu dla dziewcząt na Madagaskarze spotkała nastolatkę, która zabiła własnego ojca, kiedy ją gwałcił.

- To są historie, które zostają w człowieku na zawsze.

Czy mamy prawo ich oceniać?

Mimo wszystkich dramatów dr Paczkowska unika prostych ocen. Przez lata zadawała sobie pytanie, czy Europejczycy rzeczywiście mają prawo mówić Afrykańczykom, jak powinni żyć.

- Czy mamy prawo pojechać tam i powiedzieć: wszystko robicie źle, a my robimy dobrze?

Z jednej strony widzi ogrom cierpienia. Z drugiej dostrzega ludzi, którzy mimo skrajnej biedy potrafią cieszyć się życiem.

- Jest wieczór. Świeci księżyc. Niebo półkuli południowej jest pełne gwiazd. Jest ładniejsze niż nasze. Ludzie tańczą, śpiewają, spotykają się razem. Są szczęśliwi.

Dlatego najważniejszą lekcją z misji nie stała się medycyna.

- My po prostu mieliśmy szczęście urodzić się po tej stronie równika - kończy rozmówczyni „Głosu Wielkopolskiego".

eprasa.pl df8e3d5e19

Polska
Poniedziałek, 6.07.2026

Są aktorami jednej roli, która przyniosła im wielką popularność. Potem bywało różnie. Część zrezygnowała z aktorstwa, inni nie doczekali się kolejnych propozycji. Co ciekawe, aktorami jednej roli są najczęściej kobiety

Anna Gronczewska

GWIAZDY, KTÓRE OLŚNIŁY WSZYSTKICH, ALE ROZBŁYSŁY TYLKO RAZ

Daleko od szosy" to jeden z najpopularniejszych polskich seriali. Anię, wielką miłość, a potem żonę Leszka Góreckiego, zagrała łodzianka Irena Szewczyk. Gdy dostała tę propozycję, miała 29 lat, a rok wcześniej skończyła łódzką Szkołę Filmową. „Daleko od szosy" nie było jej filmowym debiutem. Oglądaliśmy ją między innymi w „Rzeczpospolitej Babskiej" czy „Milionie za Laurę". Do „Daleko od szosy" trafiła przez zdjęcia próbne.

- Cieszyłam się, że to serial - opowiadała w latach siedemdziesiątych „Dziennikowi Łódzkiemu" Irena Szewczyk. - Ale nie zastanowiłam się nad tym, że po pierwszym, drugim odcinku przyjdzie trzeci, szósty. W ciągu jednego dnia będę grać maturzystkę i matkę. Trzeba było się szybko przeistaczać. Dla mnie wszystko działo się w ciągu kilku miesięcy, od stycznia do lipca. Najbardziej bałam się trzeciego odcinka. Był to moment, w którym zaczynałam konkurować z Bronką, do niej widzowie się już przyzwyczaili.



FOT. TVP

Maryna, dziewczyna Janosika, była pierwszą poważną rolą Ewy Lemańskiej, a zarazem ostatnią. Po roli Maryny nie dostała w zasadzie żadnej satysfakcjonującej propozycji. Grała jeszcze w warszawskich teatrach. W 1980 roku wyjechała z Polski



FOT. TVP

Jolanta Żółkowska i Krzysztof Kołbasiuk byli parą nie tylko na planie serialu „Dom". Basia Lawinówna była pierwszą i ostatnią głośną rolą filmową aktorki

Dwa śluby Ani

Irena Szewczyk, która była wtedy aktorką łódzkiego Teatru Nowego, mówiła że przenosiła wiele zachowań ze swego prywatnego życia do życia Ani, i odwrotnie.

- Mój prywatny ślub odbył się na tydzień przed filmowym - zdradzała. - W filmie dostaję pierścionek od ojca, we własnym - od teściowej.

Co ciekawe, tą teściową była nieżyjąca już Krystyna Bobrowska, zasłużona dla łódzkiej kultury, wieloletnia prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Irena Szewczyk przyznawała „Dziennikowi Łódzkiemu", że prywatnie nie jest tak dalekosiężna jak jej bohaterka.

- Boję się tego co będzie za tydzień, miesiąc, a Ania jest dzielna - wyjaśniała. - Podejmuje niełatwą decyzję, choć wie, że może liczyć tylko na siebie i Leszka.

Rola Ani przyniosła jej wielka popularność.

- Miła pani w sklepie z gospodarstwem domowym obiecała odłożyć mi komplet zagranicznych garnków, gdy jej powiem jak skończy się serial - mówiła „Dziennikowi" Irena Szewczyk.

W 1978 roku wyjechała z Łodzi. Zaczęła grać w warszawskich teatrach, ale w 1984 roku powróciła do rodzinnego miasta i Teatru Nowego. W 1994 roku pożegnała się z aktorstwem. Wyszła drugi raz za mąż. Skończyła pedagogikę na Uniwersytecie Łódzkim. Obroniła doktorat, zrobiła habilitację. Dziś jest profesorem nadzwyczajnym łódzkiej uczelni. Dr hab. Irena Szewczyk-Kowalewska wykładała na wydziale Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej Uniwersytetu Łódzkiego.

Nel wybiera muzykę

Aktorskiej kariery nie zrobiła też Monika Rosca, pamiętna Nel z pierwszej wersji „W pustyni i puszczy". Kiedy ogłoszono casting do tego filmu, zgłosiło się 10 tysięcy dziewczynek. Nel została 8-letnia Monica Rosca z Łodzi. Jak potem pokazało życie, „W pustyni i puszczy" było pierwszym i ostatnim filmem, w którym zagrała. W jej życiu film przegrał z muzyką.

Urodzona w Łodzi w 1961 roku Monika pochodzi z polsko-rumuńskiej rodziny. Nazwisko Rosca zawdzięcza swojemu tacie Feliksowi, który pochodził z Rumunii. Pewnie nigdy nie pojawiłaby się na planie „W pustyni i puszczy", gdyby nie dyrektor szkoły muzycznej, do której chodziła. To on podsunął kandydaturę Moniki filmowcom. Tak dziewczynka pojawiła się na zdjęciach próbnych, przechodząc kolejne eliminacje, by w końcu zapadła decyzja, że zagra Nel. Monica Rosca wspominała po latach, że zdjęcia próbne trwały pół roku.

- Często jeździłyśmy z mamą z Łodzi do Warszawy, mieszkałyśmy w hotelu, to była dla mnie niezapomniana przygoda - opowiadała Monika Rosca. - Początkowo zakładano, że Nel będzie nieco starsza, ale w końcu wybrano właśnie mnie. Tak samo Tomek Mędrzak grający Stasia podobał się od razu producentom, którzy stwierdzili, że wyjątkowo dobrana z nas para.

Monika Rosca wspomina „W pustyni i w puszczy" jako niezapomnianą przygodę.

- Dzięki doświadczeniom z planu, nieźle się zahartowałam - śmieje się dziś Monika, wspominając filmową przygodę. - Kiedy ma się 9 lat i trzeba jeździć na koniu, słoniu czy wielbłądzie, długi czas siedzieć na drzewie, znosić upał lub kąpać w zimnej wodzie, to ma się już odporność na całe życie!

„W pustyni i w puszczy" przyniosło ogromną popularność Monice Rosce i Tomaszowi Mędrzakowi. Monika przyznawała, że ona i Tomek w ciągu zaledwie kilku dni stali się gwiazdami.

- Ludzie nie dawali nam spokojnie przejść na ulicy, prosili o autografy - wspominała. - Dniami i nocami stukali do drzwi naszych mieszkań, a telefon dzwonił niemal non stop.

Monika Rosca została pianistką. Pierwszy raz koncertowała mając 13 lat, trzy lata później zdobyła nagrodę publiczności na konkursie we Włoszech. Z wyróżnieniem skończyła łódzką Akademię Muzyczną. Została adiunktem u nieżyjącego już prof. Tadeusza Chmielewskiego. Dostała stypendium towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Wydała płyty z nagraniami utworów Bacha, Mozarta i Beethovena. Dziś, tak jak Tomasz Mędrzak, mieszka w Warszawie, wiele koncentruje. Między innymi kilka lat była na kontrakcie w Japonii. Po latach razem z Tomaszem Mędrzakiem odwiedzili Egipt, miejsce gdzie kręcono „W pustyni i puszczy".

Dziewczyna Janosika

Któż nie pamięta Maryny, dziewczyny Janosika? Grała ją Ewa Lemańska, wtedy jedna z najpiękniejszych polskich aktorek. Urodziła się w 1949 roku w Łodzi, tu skończyła Szkołę Filmową. Maryna była jej pierwszą

eprasa.pl df8e3d5e19



FOT. FILM POLSKI

Irena Szewczyk po roli w „Daleko od szosy" nie zrobiła kariery aktorskiej



FOT. ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO

Grażyna Staniszewska po roli Danusi w Krzyżakach nie dostała dobrych propozycji

poważną rolą, a zarazem ostatnią. Przypomnijmy, że przystojnego Janosika grał Marek Perepeczko. Uchodzili za idealną parę, plotkowano, że na planie zbliżyli się do siebie, ale Ewa Lemańska zapewniała, że nic takiego nie miało miejsca.

– Marek był przyjacielem mojego męża, bronił mnie przed pomysłami innych panów – wyjaśniała w „Pytaniu na śniadanie". – To była porządna przyjaźń.

Po roli Maryny nie dostała w zasadzie żadnej poważnej propozycji. Grała wtedy głównie w warszawskich teatrach, a w 1980 roku zdecydowała się wyjechać z Polski. Wtedy też rozwiodła się z pierwszym mężem Cezarym Kaplińskim.

Najpierw mieszkała we Francji, potem wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Zaczęła pracować jako modelka. Nie znała dobrze angielskiego, więc nie mogła powrócić do aktorstwa. Pozostała jej rola statystki. W USA wyszła drugi raz za mąż za Olgierda Roycewicza. Zostali rodzicami dwóch synów: Alexa i Briana, obaj zajmują się grafiką komputerową. Związek z Olgierdem rozpadł się po 14 latach. Ewa Lemańska po raz trzeci wyszła za mąż za Anglika Jamesa Rooneya, ale i to małżeństwo się rozpadło.

W 1998 roku mieszkająca na Florydzie aktorka dowiedziała się, że jest chora na raka. Na szczęście udało się jej pokonać nowotwór piersi. Po kilku latach nastąpił nawrót choroby. U Ewy Lemańskiej stwierdzono guza w mózgu, a także czerniaka na palcu u nogi. Palec trzeba było amputować.

– Na szczęście nie mam żadnych przerzutów, a węzły chłonne są wolne od komórek nowotworowych – mówiła dziennikarzom podczas pobytu w Polsce. – Mimo to cały czas jestem pod opieką onkologiczną. Znów wygrałam z rakiem, ale już myślałam, że będę musiała się zbierać na tamten świat.

Pewnie pod wpływem tych przeżyć aktorka skończyła szkołę pielęgniarską, została opiekunką medyczną. Dziś Ewa Lemańska jest na emeryturze i dalej mieszka na Florydzie.

Danusia i Krzyżacy

Dla Grażyny Staniszewskiej i Urszuli Modrzyńskiej „Krzyżacy" byli pierwszym wielkim i tak naprawdę ostatnim w karierze. Zagrały jego główne bohaterki – Danusię i Jagienkę.

Grażyna Staniszewska pochodziła z Łodzi, urodziła się tu 23 lipca 1936 roku, w tym roku obchodziłaby 90. urodziny. Miała 24 lata, gdy Aleksander Ford zaproponował jej rolę Danusi Jurandówny. Reżyserowi zależało, by wielką miłość Zbyszka z Bogdańca zagrała piękna, ale nieznana aktorka. Wybrał Grażynę Staniszewską.

– Danusia musiała mieć jakąś twarz, czyjąś sylwetkę – mówiła potem w wywiadzie aktorka. – Użyczyłam jej swojej i na tym właściwie kończył się mój aktorski wkład. Ford niczego nie narzucał, odzywał się tylko, gdy był z czegoś niezadowolony.

Tłumy Polaków poszły do kina na „Krzyżaków", ale aktorka nie otrzymywała propozycji filmowych. Podobny los spotkał innych aktorów, mówiło się o „klątwie" ciążącej nad filmem. Jeszcze w 1989 roku zagrała w „Lawie" Tadeusza Konwickiego i zakończyła swoją aktorską przygodę.

– Najbliższe są mi role żony, matki, babci i widza, bo jestem z gatunku tak zwanych kur domowych – mówiła przed laty Grażyna Staniszewska. – Poza tym... nie ma na mnie zapotrzebowania. Zamiast więc grać drugie skrzypce lub zadowalać się byle czym, wolę zostać w domu.

Była już wtedy żoną profesora Wojciecha Noszczyka, znanego chirurga. Urodziło się im dwoje dzieci: Bartłomiej i Maria. Oboje zostali lekarzami. Syn specjalizuje się w chirurgii plastycznej, a córka jest dermatologiem. Grażyna Staniszewska zmarła w 2018 roku w Warszawie.

Tragiczna historia Jagienki

Kariery nie zrobiła też Urszula Modrzyńska, która w „Krzyżakach" zagrała Jagienkę. Urodziła się w 1928 roku we wsi Srebniki, w województwie kujawsko-pomorskim. Jej starsza o 10 lat siostra Helena wygrała jeszcze przed wojną konkurs piękności „Tygodnika Filmowego" i została żoną znanego aktora Tadeusza Fijewskiego. To właśnie Tadeusz namówił Urszulę, by została aktorką. Nie kończyła szkoły teatralnej, zdała eksternistyczny egzamin aktorski. Grała w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu, poznańskim Teatrze Nowym. W Poznaniu zagrała w „Mieszczanach" Maksyma Gorkiego. Jej partnerem był młody aktor Zbigniew Józefowicz. Już jako małżeństwo wyjechali do Łodzi i tu osiedli. Zaczęli występować w Teatrze im. Jaracza. Małżeństwo doczekało się syna Stasia.

– Muszę sama zajmować się domem, bo o dobrą gosposię w Łodzi jest równie trudno jak wszędzie w Polsce – mówiła aktorka w wywiadzie dla „Filmu". – Sama gotuję, palę w piecu.

Urszula Modrzyńska miała 31 lat, gdy w 1959 roku Aleksander Ford zaproponował jej rolę Jagienki w „Krzyżakach". Był to dla niej trudny czas, bo na trzy miesiące wyjechała z Łodzi na plan „Krzyżaków". Tęskniła za synem.

– Długo nie przyjmę nowej oferty! – mówiła po zakończeniu zdjęć.

Niestety, niedługo po premierze „Krzyżaków" Urszula Modrzyńska poważnie zachorowała.

– Wydawało się, że świat legł u jej stóp, lecz, jak to się często zdarza w aktorskim życiu, olbrzymia popularność obróciła się przeciw niej – przekonywał w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego" jej mąż Zbigniew Józefowicz. – Leczenie trwało trzy miesiące. Reżyser Kazimierz Dejmek zaprosił ją do udziału w „Trzech siostrach", które reżyserował w łódzkim Teatrze Nowym. Dejmek jednak na tyle cenił Urszulę, że przesunął premierę spektaklu na kolejny sezon. W tym czasie odwrócił się od niej film.



FOT. FILM POLSKI

Monika Rosca pożegnała się z filmem po roli Nel, zrobiła za to karierę jako pianistka

Nie wiadomo na co zachorowała aktorka. Rodzina tego nie podała. Przez 24 lata żoną troskliwie opiekował się Zbigniew Józefowicz. Urszula Modrzyńska miała problemy z pamięcią, żyła w swoim świecie. W 1986 roku oficjalnie zrezygnowała z aktorstwa. Zmarła w 2010 roku.

Basia Lawinówna

Aktorką jednej roli można nazwać Jolantę Żółkowską, niezapomnianą Basię Lawinównę z serialu „Dom". Urodziła się w 1955 roku w Siedlcach. Po maturze poszła w ślady swojej starszej o pięć lat siostry Joanny. Po studiach w PWST w Warszawie dostała angaż do warszawskiego Teatru Na Woli. Jego dyrektorem był Tadeusz Łomnicki. W tym teatrze spotkała przystojnego aktora Krzysztofa Kołbasiuka. W tym czasie był mężem grającej w tym samym teatrze Doroty Stalińskiej.

Jolanta Żółkowska zagrała w serialu „Dom", którego reżyserem był Jan Łomnicki, brat Tadeusza.

Aktorka była jedną z głównych bohaterek pierwszej serii serialu. Grała Basię Lawinównę, łączniczkę z Powstania Warszawskiego, która szukała swojej powstańczej miłości, poety Łukasza Zbożnego. Grał go Krzysztof Kołbasiuk. To na planie „Domu" miała się rozwinąć ich miłość. Krzysztof Kołbasiuk rozwiódł się z Dorotą Stalińską i związał z Jolantą Żółkowską. Para doczekała się syna Kamila, który dziś jest artystą plastykiem.

Rola Basi Lawinówny nie spowodowała, że aktorka została zarzucona propozycjami. Zresztą niedługo po premierze „Domu" wprowadzono stan wojenny, który był dla aktorów ciężkim czasem. Jolanta Żółkowska postawiła na macierzyństwo.

Grała jeszcze w Teatrze Na Woli, ale w serialach i filmach występowała sporadycznie, w epizodycznych rolach.

W 2006 roku aktorkę spotkało nieszczęście. Zmarł nagle jej partner Krzysztof Kołbasiuk.

– Trudno pogodzić się z taką tragedią – mówiła w wywiadzie. – Nie mam żalu do losu. Wszystko, co w życiu zrobiłam, było po coś. Trzeba pogodzić się z tym, że często nie mamy wpływu na to, co się stanie. Spędziliśmy razem wiele cudownych lat. U jego boku przeżyłam najpiękniejsze chwile mojego życia.

Jolanta Żółkowska jest teraz związana z warszawskim Klubem Kultury Seniora.

eprasa.pl df8e3d5e19

Polska
Poniedziałek, 6.07.2026

NIE ZAMIERZAM WYLOGOWAĆ SIĘ Z ŻYCIA

12 października to dzień, który zmienił wszystko. W koszmarnym wypadku na trasie Rajdu Nyskiego zginął kierowca Artur Sękowski, a jego pilot, Maciej Krzysik, cudem przeżył, tracąc obie dłonie. Ponad osiem miesięcy później opublikował w sieci poruszające nagranie, pokazując nową, bioniczną protezę. Nazwał ją „game changerem". Nam opowiada o bolesnym zderzeniu z technologią, morderczym treningu i o tym, dlaczego wraca na miejsce tragedii

Anna Gryglas

Panie Maćku, wrzucił Pan do sieci nagranie z nową, bioniczną protezą. Wszyscy zobaczyli niesamowity przełom, a Pan napisał krótko: „game changer". Co tak naprawdę czuje facet, który po ośmiu miesiącach bezsilności patrzy na swoje nowe dłonie? Jaka była ta pierwsza, najgłębsza myśl?
Maciej Krzysik: Może panią zaskoczę, ale pierwsze, co poczułem, to był zawód. Totalny zawód. To nie było tak kolorowe, jak mogłoby się wydawać z boku i jak sam sobie wyobrażałem. Nagle uświadamiasz sobie, że to jest coś sztucznego, całkowicie obcego na Twojej ręce. Pojawia się myśl: jak ja mam z tym w ogóle funkcjonować? Dziś mam tę protezę od dwóch tygodni. I tak, to jest absolutny game changer, bo dzięki niej jestem w stanie zrobić wokół siebie cokolwiek. Ale to nie jest magiczne „wow". To urządzenie ma mnóstwo ograniczeń. Wszystkiego, od najprostszych rzeczy, muszę uczyć się od zera.

Ten pierwszy zawód wynikał z tego, że ta mechaniczna dłoń po prostu nie słuchała rozkazów z głowy?
Dokładnie, chodzi o funkcjonalność. Wygląd nie ma znaczenia. Chodzi o to, że to nie jest moja naturalna dłoń, którą ruszam bezwiednie. Ograniczenia są gigantyczne. Żeby je ominąć, muszę kombinować: odpowiednio ułożyć nadgarstek, skompensować brak dłoni ruchem barku, idealnie ustawić całe ciało. Ja tego jeszcze nie potrafię. Proszę mi uwierzyć, że dzisiaj zjedzenie jakiegokolwiek posiłku to dla mnie ogromna trudność. Ale najważniejsze jest to, że w ogóle jest to możliwe. To jest mój kosmiczny postęp.

Pamięta Pan ten pierwszy moment? Co było tą pierwszą rzeczą, którą udało się fizycznie chwycić?
Uczyłem się łapać butelkę. Zwykłą plastikową butelkę. Chodziło o to, żeby w ogóle wyczuć przedmioty, nie upuścić ich, nie zgnieść. Potem próby samodzielnego picia, zjedzenia zwykłego hot-doga. Ta technologia jest skomplikowana. Proteza ma masę ustawień, szybkości działania i siły nacisku, którą muszę idealnie dozować w zależności od tego, co trzymam. Moja sytuacja jest trudniejsza, bo na razie mam tylko jedną rękę. Docelowo, gdy będę miał obie, jedna będzie zaprogramowana na silny chwyt do większych rzeczy, a druga na słabszy, bardziej precyzyjny, do małych przedmiotów.

To fascynujące, jak to w ogóle działa. Jak to się dzieje, że ta maszyna wie, co Pan chce zrobić?
W leju protezy, na moim przedramieniu, są umieszczone elektrody. Dotykają moich mięśni – prostowników i zginaczy. Fizycznie moich dłoni nie ma, ale w głowie wciąż mam ten odruch. Jestem w stanie ruszać nieistniejącym nadgarstkiem, otwierać go i zamykać. Mięśnie przedramienia wtedy pracują, elektrody sczytują te impulsy nerwowe i natychmiast zamykają lub otwierają bioniczną dłoń.
Najtrudniejsza jest psychika. Muszę mieć z tyłu głowy przez cały czas, że to nie jest naturalny ruch. To jest ciągła, świadoma praca nad wysyłaniem impulsów: zamknij nadgarstek, otwórz nadgarstek. Do tego mam do dyspozycji trzy grupy po pięć różnych chwytów, które konfiguruję pod siebie.

Widziałam na filmie, jak tą protezą napisał Pan na kartce słowo „dziękuję". Dla kogoś, kto stracił dłonie, to musiało być potwornie trudne, wręcz chirurgiczne zadanie.
Było trudne z jeszcze jednego powodu, jestem praworęczny, a protezę mam na lewej ręce. Nie dość, że walczę z maszyną, to jeszcze uczę się pisać lewą ręką.

Jest Pan człowiekiem rajdów, a tam liczy się bezwzględny upór, sekundy, ułamki milimetrów. Czy ten rajdowy charakter pomaga Panu przetrwać tę żmudną i monotonną robotę na rehabilitacji?
Jestem potwornie upartym człowiekiem, moja rodzina mogłaby to najlepiej i najgłośniej potwierdzić. Ten upór to w tej chwili moja największa broń. To on pcha mnie do przodu, żebym wywalczył sobie jako taką samodzielność. Nie ma innej drogi.

Ta proteza kosztuje kosmiczne pieniądze. Ponad 800 tysięcy złotych zebrali dla Pana ludzie w internecie. Kiedy patrzy Pan na te bioniczne dłonie, czuje Pan za sobą ten wielki tłum ludzkich serc?
Gdyby nie ci wszyscy ludzie, którzy stanęli za mną murem, tej protezy po prostu by nie było. Dlatego za każdym razem składam wielkie ukłony w ich stronę.



FOT. ANNA GRYGLAS

Maciej Krzysik ma świadomość, że przed nim długa droga nauki optymalnego wykorzystywania możliwości bionicznej protezy, która ma zastąpić utraconą dłoń.

Dla mnie powrót do normalnego życia to jest dług wdzięczności i hołd dla nich wszystkich. Najłatwiej byłoby w mojej sytuacji zamknąć się w czterech ścianach, wylogować się z życia, bo jestem po amputacjach i nic sam nie zrobię. Ja wybrałem walkę. Chcę żyć normalnie. Czasem za to obrywam, ale się nie poddaję, ale mam jedną prostą zasadę: co nas nie zabije, to nas wzmocni. Idę przed siebie.

Na razie to lewa dłoń. Co z prawą ręką? Kiedy nastąpi ten moment, że poczuje Pan pełną niezależność?
W przypadku prawej ręki musimy poczekać. Mam tam głębokie blizny na ramieniu i przedramieniu po oparzeniach z wypadku. One muszą odpowiednio dojrzeć, żeby skóra wytrzymała nacisk leja protezowego. Stawiam, że minie od trzech do sześciu miesięcy, zanim będziemy mogli w ogóle podjąć jakiekolwiek działania z drugą protezą.

Minęło osiem miesięcy. Czy po takim czasie, mając już w głowie ten cały dystans, zmieniło się Pana spojrzenie na tamten tragiczny dzień?
Ten 12 października podzielił moje życie grubą kreską na „przed" i „po". Ten dzień całkowicie mnie zmienił. Prokuratura w Prudniku wciąż prowadzi śledztwo, bada przyczyny, powołano biegłych. Nie znam jeszcze ich ustaleń, będę się kontaktował z prokuratorem, bo jako poszkodowany mam do tego prawo.

Ludzie zauważyli, że regularnie wraca Pan na miejsce tego wypadku. Dlaczego? Nie boi się Pan, że te demony wrócą?
Nie analizuję tego na miejscu, bo chyba bym zwariował, gdybym ciągle do tego wracał w ten sposób. To miejsce jest dla mnie szczególne, potwornie bolesne, bo przewróciło mój świat do góry nogami. Ale wracam tam z jednego, najważniejszego powodu. Tam zginął mój bardzo dobry kolega, Artur. Jeżdżę tam, żeby oddać mu hołd. Będę się tam pojawiał zawsze.

Ostatnio pojawił się Pan na sesji rady powiatu. Wielu odebrało to jako sygnał: „Maciek wraca do gry, wraca do pracy". To prawda?
Nie, absolutnie nie. To nie był żaden powrót do obowiązków zawodowych, nie biorę udziału w takich rzeczach. Moja obecność na sesji absolutoryjnej miała zupełnie inny cel. Zrobiłem to dla własnej psychiki. Gdyby tak aktywny człowiek jak ja przed wypadkiem miał cały czas siedzieć bezczynnie w domu, to można po prostu oszaleć. To była moja osobista rehabilitacja psychologiczna.

Wokół Pana osoby pojawiły się ostatnio zarzuty dotyczących prowadzenia samochodu, a Pan wydał oświadczenie.
Nie zamierzam komentować tej sprawy w mediach. Mogę jedynie zapewnić, że wszystko, co robię, jest w stu procentach realizowane zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa.

To na koniec: przed Panem tysiące godzin powtórzeń, ćwiczeń, potu i nerwów. Rajdowiec w Panu wierzy w ostateczne zwycięstwo?
To jest jak nauka gry na instrumencie albo pierwsza jazda na rowerze. Na początku nic nie wychodzi, wszystko leci z rąk, człowiek się wścieka. Ale poprzez morderczy trening dochodzi się do perfekcji. Głęboko wierzę, że w moim przypadku będzie dokładnie tak samo. Prędzej czy później opanuję te dłonie perfekcyjnie. ©℗

eprasa.pl df8e3d5e19

Starym polonezem wokół Bałtyku. Andrzej Liśniewski zaczyna nową przygodę

Andrzej Liśniewski, nauczyciel koszalińskiej „samochodówki" jest pomysłodawcą, organizatorem i uczestnikiem wyprawy dookoła Bałtyku polonezem należącym do szkoły. Już raz pokonał tę trasę... maluchem. Tym razem jego przygoda ma dodatkowy wymiar: jedzie z misją dyplomatyczną do miast partnerskich Koszalina

Wojciech Frelichowski

Spotkaliśmy się już kilka lat temu, kiedy jeszcze jako uczeń koszalińskiej „samochodówki" wpadł Pan na szalony pomysł, by swoim maluchem objechać Morze Bałtyckie. Co więcej, zrobił Pan to w sposób ekstremalny, nie korzystając ani z hoteli, ani z pól namiotowych. W tym roku ponownie rusza Pan w trasę. Tym razem starym Polonezem.
Pomysł nie różni się tak naprawdę od tego sprzed lat. Ruszam dokładnie w tę samą trasę, z tą różnicą, że teraz pojadę przez Norwegię, a nie przez Szwecję. Cała reszta pozostaje bez zmian. Zmienił się za to samochód – jest większy, wygodniejszy i tym razem nie jest mój, tylko naszej Samochodówki.

Gdy widzieliśmy się kilka lat temu, był Pan uczniem „samochodówki". Dziś jest Pan tam nauczycielem.
Tak, choć małe sprostowanie – wtedy byłem już po szkole. Dziś uczę w „samochodówce" przedmiotów zawodowych. To był mój pierwszy rok pracy i jak na razie współpraca ze wszystkimi układa się bardzo dobrze.

Jaki dystans pokonał Pan maluchem?
Ponad siedem tysięcy kilometrów. Tym razem dystans będzie podobny, ale zobaczymy, co przyniesie droga i co faktycznie będę zwiedzał. Ostateczny wynik sprawdzimy po powrocie na liczniku.

W trasę ruszy Pan szkolnym polonezem. Proszę powiedzieć kilka słów o tym samochodzie. Młodsi czytelnicy zapewne nawet nie bardzo wiedzą, jak wygląda polonez.
To polonez Truck z 1989 roku. Ma 37 lat i co ciekawe, od nowości służy w naszej Samochodówce. Od początku jest nasz i wciąż ma czarne tablice rejestracyjne. Jesteśmy jego pierwszym właścicielem. To taki pick-up – przód jest od zwykłego poloneza, a z tyłu znajduje się paka, jak w amerykańskich samochodach tego typu. Dziś służy głównie do wywozu wiórów na złom oraz przewożenia blach i gazów technicznych. Były jednak czasy, kiedy pracował codziennie. Obecnie ma na liczniku około 80 tysięcy kilometrów.



FOT. FOT DAWID JASKIECZ

Andrzej Liśniewski: Patrząc na Poloneza, karoseria jest nasza, ale silnik, układ napędowy, hamulce i wiele innych elementów wywodzi się właśnie ze starych Fiatów

Przyznam, że sądziłam, iż skoro to samochód „samochodówki", uczniowie uczą się na nim mechaniki.
I tak właśnie jest. Wszystko przy tym aucie robimy u nas, oczywiście wspólnie z uczniami. Był nawet czas, wiele lat temu, kiedy uczniowie uczyli się na nim jeździć. Dziś również mają do niego dostęp. Jeśli jest coś do zrobienia, wykonujemy to razem podczas zajęć.

Podczas wyprawy samochód ma być także Pana domem na kółkach. Jak Pan to zorganizował?
Kupiłem dywan, materac i zamontowałem dachowe okno z przyczepy kempingowej. I właściwie tyle mi wystarczy. Po ostatniej wyprawie, podczas której przez dwa tygodnie spałem w maluchu, teraz będę się czuł niemal jak w hotelu.

Tamten maluch był Pana samochodem. Włożył Pan mnóstwo pracy, by go odrestaurować i przygotować do podróży. Tym razem miał Pan mniej obowiązków?
Tak naprawdę wszystko zostało wykonane na szkolnych warsztatach. Zajmowali się tym nasi ludzie. Ja tylko dopracowałem kilka szczegółów. Samochód jest zadbany i stanowi bardzo dobrą bazę. Mam nadzieję, że nie skończy się jak trzy lata temu, kiedy podczas czternastodniowej wyprawy miałem siedem awarii. Wtedy przygotowałem się nieco gorzej. Teraz zdecydowanie bardziej ufam temu pojazdowi.

Zakładam, że zabierze Pan ze sobą spory zapas części zamiennych.
Tak, części i narzędzi będę miał pod sam dach.

Jak wygląda dziś dostępność części do poloneza? Maluch stał się autem kultowym, ciągle widzimy je na drogach, a polonezy praktycznie zniknęły z dróg.
Wiele części pasuje ze starych fiatów. Patrząc na poloneza, karoseria jest nasza, ale silnik, układ napędowy, hamulce i wiele innych elementów wywodzi się właśnie ze starych Fiatów.

Kilka lat temu była to prywatna, wakacyjna przygoda. Tegoroczna wyprawa ma już bardziej oficjalny charakter.
Tak. Oprócz odwiedzenia Nordkappu, czyli najbardziej na północ wysuniętego punktu naszego kontynentu, chcę odwiedzić miasta partnerskie Koszalina. Plan jest gotowy, a miasta zostały uprzedzone o mojej wizycie. Czuję się trochę jak posłaniec miasta, a może nawet taki nieformalny dyplomata (śmiech).

Porozmawiajmy o szczegółach. Rusza Pan w sobotę. Ile czasu zajmie pokonanie trasy?
Plan zakłada piętnaście dni. Poprzednio zajęło mi to czternaście dni, ale tym razem chciałbym przynajmniej jeden dzień spędzić w Nordkappie. Jak będzie w praktyce? Tego nie wiem. Najważniejsze, żeby wrócić przed wrześniem, bo wtedy trzeba stawić się w pracy (śmiech).

Jak wygląda życie w samochodzie?
To przede wszystkim wolność. Szczególnie kiedy podróżuje się samemu. Jadę, gdzie chcę, kiedy chcę i nocuję tam, gdzie chcę.

Podczas poprzedniej wyprawy nie miał Pan problemów?
Zdarzało się, że późnym wieczorem dojeżdżałem do miejsca, które wcześniej wybrałem, a na miejscu okazywało się, że nie da się tam wjechać albo jest dostępne tylko dla pieszych. Wtedy trzeba było szybko szukać alternatywy. Ale śpiąc w samochodzie, jestem mobilny i mogę łatwo zmienić lokalizację. Nigdy jednak nie zdarzyło się, żeby ktoś mnie przeganiał. Największym problemem były komary. Szwedzkie komary są naprawdę ogromne, niemal wielkości szczurów (śmiech). Dlatego w tym roku zabieram moskitierę.

Przestrzeń życiowa będzie mocno ograniczona. Zabiera Pan części, narzędzia, prowiant. Jak się Pan zmieści?
– Skoro udało mi się zmieścić w maluchu, gdzie nocą za poduszkę służyła mi zapasowa skrzynia biegów, to teraz będzie wręcz luksusowo. Oczywiście przed snem trzeba będzie trochę poprzekładać rzeczy, poświęcić dziesięć czy piętnaście minut na przenoszenie skrzynek, ale później będę mógł wygodnie położyć się na materacu.

Czyli wszystko jest już gotowe i odlicza Pan godziny do wyjazdu?
Jestem na etapie pakowania, ale wszystko mam już kupione i przygotowane. Najbardziej martwi mnie cena paliwa, bo polonez spala dwa razy więcej niż maluch. Ale dam radę.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA
Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**
Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10
POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl df8e3d5e19

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Czy u teściów jest bezpiecznie?
10 lipca polska premiera horroru „Martwe zło: Ogień" w reżyserii Sébastiena Vanička. Po stracie męża kobieta szuka pocieszenia u teściów w ich rodzinnym domu. Spotkanie przeradza się w koszmar, kiedy domownicy zamieniają się jeden po drugim w demony. Bohaterce przyjdzie także odkryć, że przysięgi, które złożyła za życia, pozostają w mocy nawet po śmierci.

ZA TYDZIEŃ

Jak komuniści walczyli z książkami i pisarzami
Nie trzeba było krytykować systemu, by trafić w PRL na indeks. Znalazły się na nim nawet książki Jana Brzechwy i Karola Maya.



Prawdziwy Hans Kloss istniał co najmniej w trzech wcieleniach

Zuzanna Wierus, współpr. pisk
redakcja@polskatimes.pl

Najwięcej wspólnego z serialowym Klossem miał Mikołaj Beljung – bohater śląskiego podziemia.

Ale byli inni agenci, których losy mogły inspirować twórców. Był nawet... „Kloss Samozwaniec". Choć scenarzysta serialu „Stawka większa niż życie" Zbigniew Safjan nigdy nie ujawnił, kto był pierwowzorem agenta J-23, historycy nie pozostawiają żadnych wątpliwości: polskich Hansów Klossów mogło być co najmniej kilku.



Filmowy J-23 w akcji. 18 odcinków serialu o Hansie Klossie emitowano na antenie TVP od 10 października 1968 do 6 lutego 1969 roku

Broń, pieniądze, papiery

Reżyser „Stawki" Janusz Morgenstern inspirował się podobno losami radzieckiego ppor. Olega Gonczarenki, wiadomo jednak, że dla scenarzystów stanowiły one jedynie luźną sugestię. Kluczowym natchnieniem był dla nich... film o Bondzie, który w Londynie miał oglądać Andrzej Szypulski. Samo nazwisko „Kloss" scenarzyści wyszperali ponoć w książce telefonicznej podczas pobytu w jednym z krajów Zachodu.

Jednym z pretendentów do tytułu pierwowzoru serialowego Hansa Klossa jest Mikołaj Beljung – legenda śląskiego ruchu oporu. Przebrany za esesmana nie wzbudzał podejrzeń, mimo że jego wygląd zdecydowanie odbiegał od niemieckiego ideału Aryjczyka – po matce Węgierce Beljung odziedziczył śniadą cerę, ciemne włosy i krępą budowę ciała. Potrafił za to doskonale wcielać się w wymyślone przez siebie role, dlatego z łatwością udawało mu się zdobywać najbardziej tajne informacje, broń, pieniądze i dokumenty.

Równie łatwo co zmiana zachowania przychodziła mu także zmiana akcentu – doskonale posługiwał się językiem niemieckim i zmieniał swoją wymowę na berlińską, wiedeńską lub saksońską.

Na celowniku gestapo

Beljung publicznie wypowiedział się na temat pracy agenta tylko raz, w wywiadzie udzielonym „Trybunie Śląskiej" w 1969 roku. Wspólnie z kolegami z Armii Krajowej – „Borówką", „Turem" i „Bergiem" – wspominał wtedy wojenne dzieje. Towarzysze broni porównywali działalność Beljunga do zadań realizowanych przez serialowego Hansa Klossa, jednak sam zainteresowany twierdził, że jego praca była zdecydowanie mniej przewidywalna. Jedno było pewne: obaj doskonale odgrywali swoje role.

Jedną z bardziej brawurowych akcji, którą mógł pochwalić się Beljung, było zdobycie około 500 niemieckich pistoletów dla miejscowego oddziału AK. Czyn godny podziwu, tym bardziej że śląski J-23 nie miał najmniejszego pojęcia o tym, jakie procedury towarzyszą wydawaniu broni. Wiedział tylko tyle, że żołnierze zaopatrują się w ośrodkach Verkaufsstelle. Aby zrealizować polecenie przełożonych, Beljung wybrał centralę w Ostrawie. Pojechał tam jako Karl Heimbach ze Lwowa i próbował wyłudzić broń, przedstawiając fałszywe dokumenty.

Niestety, na miejscu okazało się, że nasz agent zabrał ze sobą błędny dokument. Ta sytuacja spowodowała, że w jednej chwili wszedł w rolę żołnierza z frontu wschodniego, który jak najszybciej musi dostarczyć broń walczącym kolegom. Udał się do głównego szefa policji i zrobił mu karczemną awanturę – krzyczał, że pismo wypisywał ranny w głowę inwalida i że na Wschodzie takich jak on jest wielu. Zastraszony Niemiec potulnie podpisał zgodę na wydanie broni.

Mimo genialnych wręcz umiejętności aktorskich gestapo wpadło na trop Beljunga. Aby uniknąć podejrzeń, musiał wyjechać do Wiednia, jednak po kilku latach powrócił na Śląsk.

TW „Jansen"

Ze względu na współpracę z AK po wojnie na krótko trafił do więzienia, dlatego potem niechętnie opowiadał o swoich wojennych przygodach. Po wyjściu na wolność imał się najrozmaitszych prac – spełniał się jako trener piłki nożnej, dyrektor stadionu, a także jako szef restauracji Hungaria. W Katowicach pozostał aż do śmierci w 1974 roku.

Choć Ślązacy są przekonani, że mogą szczycić się katowickim rodowodem Hansa Klossa, historycy pierwowzoru J-23 dopatrują się go także w agencie komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. TW „Jansen", bo taki pseudonim wybrał sobie Witold Enzinger, zawodowo zajmował się inwigilacją blisko dwutysięcznej mniejszości niemieckiej we Wrocławiu. Do realizacji zlecanych mu przez SB zadań TW „Jansen" nadawał się jak mało kto. Mimo że urodził się w Brazylii, dzieciństwo spędził w Niemczech, a po zakończeniu wojny pracował we Wrocławiu jako tłumacz przysięgły języka niemieckiego.

Zawód tłumacza wydawał się perfekcyjny dla agenta bezpieki – klienci chętnie zwierzali mu się ze swoich problemów. Żeby odwzajemnić ich zaufanie, „Jansen" równie chętnie opowiadał im o swoich wojennych przeżyciach, m.in. o wyroku za pracę na rzecz Abwehry oraz o internowaniu przez polskie władze.

18 tomów akt

Nie chwalił się jednak tym, w jaki sposób udało mu się rozpocząć współpracę z niemieckim wywiadem. Oficjalnie Enzinger sam zgłosił chęć kooperacji z Niemcami, jednak w rzeczywistości dołączył do grupy niemieckich agentów za sprawą polskich służb specjalnych. Z czasem został zdemaskowany zarówno przez polskie, jak i przez niemieckie służby specjalne. Od 1942 r. aż do końca wojny siedział na zmianę w berlińskich i bawarskich więzieniach.

Gdy po wojnie wrócił do Polski, osiadł na Dolnym Śląsku i podjął współpracę z wrocławskim Urzędem Bezpieczeństwa. Jako agent „Cela" zadziwiał przełożonych niezwykłą umiejętnością zjednywania sobie ludzi.

Trudnił się wieloma zajęciami – pracował między innymi w przemyśle węglowym, fabryce kołder, centrali rybnej, a także we wrocławskim hotelu Monopol. W każdym z tych miejsc dał się poznać jako pracownik o niezwykłej inteligencji i pomysłowości. Nie inaczej było w przypadku współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, choć trzeba przyznać, że oprócz wcześniej wymienionych zalet Enzinger posiadał jeszcze jedną. Był ponadprzeciętnie pracowity – jego działalność zaowocowała aż 18 tomami akt.

Ciekawostki z CV

Wśród potencjalnych pierwowzorów agenta J-23 mamy także „Klossa Samozwańca" – Artura Rittera-Jastrzębskiego. Choć był przekonany, że to jego losy stały się inspiracją dla scenarzystów „Stawki...", nie były one znane twórcom tego serialu. Przynajmniej dopóki Jastrzębski sam im się nie przedstawił. Nie wiadomo więc, jak potoczyłyby się losy serialowego agenta, gdyby scenarzyści faktycznie inspirowali się życiem Jastrzębskiego. Jedno jest pewne: swoimi perypetiami mógłby obdzielić co najmniej kilku Hansów Klossów.

Ritter-Jastrzębski był bowiem nie tylko szeregowym agentem sowieckiego wywiadu, lecz także oficerem UB i generałem Ludowego Wojska Polskiego. Co więcej, znany był z tego, że swoje obowiązki wykonywał z wyjątkowym zaangażowaniem.

Prof. Paweł Wieczorkiewicz w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi „Kuriera Lubelskiego" tak opowiadał o Jastrzębskim: „To postać odrażająca. Po wojnie był wysokim funkcjonariuszem bezpieki, uchodził za sumiennego wykonawcę ludobójczej polityki, a potem pracował między innymi w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. Dlaczego uważam, że był pierwowzorem Klossa? Bo najbliżej mu do bohatera »Stawki«".

Czerwony Sztandar

Oprócz mieszkańców Olecka mało kto pamięta jeszcze o Henryku Mereckim, kolejnym z pretendentów do tytułu pierwowzoru postaci Klossa. Merecki działał w suwalskich oddziałach Armii Krajowej, jednak w maju 1944 r. trafił w ręce Niemców. Nie na długo, bowiem dzięki brawurowej akcji kolegów z partyzantki został uprowadzony ze strzeżonego przez niemieckich żołnierzy szpitala w Suwałkach. Jeszcze jesienią tego samego roku zmienił zapatrywania i zaczął współpracować z Rosjanami.

Już w listopadzie został dowódcą radzieckiego desantu działającego na obszarze położonym między Węgorzewem, Giżyckiem, Oleckiem i Gołdapią. Grupa na swoje schronienie wybrała lesiste tereny Puszczy Boreckiej i stamtąd wyprawiała się po cenne dla radzieckiego wywiadu informacje na temat posunięć niemieckich wojsk i sił Giżyckiego Rejonu Umocnionego. Przebrany w mundur Abwehry Merecki podejmował liczne wyprawy wywiadowcze do Giżycka i Węgorzewa. Jedna z takich eskapad mogła się dla niego zakończyć tragicznie, bowiem Merecki wdał się w strzelaninę z hitlerowcami na stacji kolejowej w Kruklankach.

Choć pierścień niemieckiej obławy coraz ściślej zaciskał się wokół Puszczy Boreckiej, dywersanci Mereckiego nie tracili hartu ducha i brawurowo przedarli się przez linię frontu. Major Henryk Merecki powrócił do swojej rodzinnej wioski już jako kawaler Orderu Czerwonego Sztandaru. Niestety, nie było mu dane nacieszyć się urokami ojczystej niemcowizny – tego samego dnia członkowie podziemnej organizacji Wolność i Niepodległość, dawni koledzy majora z suwalskiej konspiracji, wykonali na nim wyrok śmierci za zdradę.

eprasa.pl df8e3d5e19

KOBIECA TWARZ ROKU POLSKI

KATEGORIA POKOLENIOWA: CÓRKI



HANNA LEWIŃSKA
Wrocław

Zwyciężczynię ogólnopolskiego finału plebiscytu Kobieca Twarz Roku Polski w kategorii Córki wygrana bardzo zdziwiła i uszczęśliwiła. - Chociaż towarzyszył mi lekki stres, to finalnie wsparcie bliskich bardzo mi pomogło - mówi Hanna Lewińska.

Nagroda główna - samochód - to dla niej większa niezależność w codziennym funkcjonowaniu. Na co dzień korzysta z komunikacji miejskiej, co przez niepełnosprawność jest uciążliwe, dlatego samochód znacznie ułatwi jej życie i tak pełne wyzwań. - Mocno walczę z codziennością. Bardzo dużo śpię, a gdy mam więcej siły, staram się po prostu funkcjonować. Dużym wysiłkiem jest dla mnie jedzenie. Mam też problem z poruszaniem się nawet po domu. Obecnie nie jest za dobrze. Jednak wcześniej było jeszcze gorzej, dlatego cieszę się, że udało mi się zrobić lekki progres. Ból stał się moją codziennością. Jednak po diagnozie mam to szczęście, że mogę wstawać z łóżka. To dla wielu osób niewiele, a dla mnie oznacza to bardzo dużo - wyznaje laureatka.

Nadzieją, a jednocześnie planem na życie jest dla niej w przyszłości założenie rodziny. Mimo trudu każdego dnia nie poddaje się, znajduje w sobie siłę na walkę oraz realizowania swoich pasji, z których największą jest malowanie. Szczególnie lubi pejzaże, a jej ulubioną techniką jest malowanie rękami.

- Bardzo, cieszę się z rzeczy, które dla innych są oczywiste. Na przykład dużym sukcesem, który sprawia mi autentyczną radość jest to, gdy uda mi się normalnie zjeść. Czuję wtedy dużą ulgę. Ale mam w pamięci stan, kiedy byłam przygwożdżona do łóżka, nie miałam siły się podnieść. A dziś mogę wyjść o kulach z mamą z domu. Dla innych to coś naturalnego, coś, o czym się w ogóle nie myśli, a dla mnie to sukces, bo w głowie mam wspomnienia z czasów, kiedy było to nieosiągalne - przekazuje pani Hanna. Najważniejszą osobą w życiu naszej zwyciężczyni jest jej mama, która towarzyszy jej na każdym etapie choroby i nigdy jej nie zawiodła. To właśnie od niej otrzymała najwięcej wsparcia i zrozumienia.

Choroba sprawiła, że pani Hanna, w pewnym sensie, straciła dzieciństwo, ale nie czuje potrzeby udowadniania swojej dorosłości. Chce nadrabiać to, czego nie mogła doświadczyć wcześniej.

KATEGORIA POKOLENIOWA: MATKI



LUCYNA KRAJCZEWSKA
Świecie

Zapytana o emocje po wygranej w ogólnopolskim finale plebiscytu Kobieca Twarz Roku Polski w kategorii Matki, mówi, że trudno było znaleźć słowa. - To była wielka radość. Nigdy nic nie wygrałam, nie licząc suszarki jakieś 20 lat temu. Kiedy przyszłam do pracy następnego dnia po ogłoszeniu wyników, od rana towarzyszył mi uśmiech od ucha do ucha. Posypały się oczywiście gratulacje. Okazało się, że mam dużą grupę wsparcia. Czuję się po prostu jak gwiazda - wspomina Lucyna Krajczewska.

Nagrodą główną w plebiscycie było auto. Czy jest już plan na pierwszą podróż? - Mam grupę znajomych, są to trzy pary. Zawsze gdy gdzieś jedziemy, musimy korzystać z dwóch samochodów. Teraz na jakiekolwiek wypady będę mogła zabrać wszystkich bliskich i skończy się problem z jazdą na dwa auta - mówi pani Lucyna.

Wygrała w kategorii pokoleniowej Matki. Dla niej bycie dobrą mamą to wsparcie na każdym etapie. Sama miała to szczęście, że miała je od swoich rodziców: od dzieciństwa aż do dziś, bo jej mama wciąż jest dla niej oparciem. Rodzina jest dla pani Lucyny najważniejsza, ale jak zaznacza, stara się nie zapominać o sobie, bo uważa, że szczęśliwa mama to szczęśliwa rodzina.

Jakie wartości chciała przekazać swoim dzieciom? - Żeby zawsze były sobą. Ja zawsze jestem sobą i nigdy nikogo nie udaję, nawet bym tego nie umiała. Albo ktoś mnie lubi, albo nie. Chciałam, żeby moje dzieci takie były - i właśnie takie są. Gdy ktoś potrzebuje wsparcia, moje dzieci nigdy nie odwracają wzroku i udają, że nie widzą - mówi. Przekazała im to, co dla niej samej najważniejsze.

Nasza Kobieca Twarz Roku Polski jest bardzo energiczna. Ciągle coś robi, najczęściej dla kogoś. Angażuje się między innymi w grupę wsparcia dla kobiet - Kobiety w centrum, gdzie wraz z innymi przypomina paniom, że nie mogą zapominać o sobie. Jak sama mówi, od zawsze lubi ludzi i chętnie uczestniczy się w różnych inicjatywach. To właśnie otwartość sprawiła, że podczas Forum Kobiecości szybko nawiązała relacje z uczestniczkami. Choć spotkały się po raz pierwszy, do dziś wzajemnie się wspierają. - To dla mnie sygnał, że otaczam się dobrymi ludźmi i to moje wielkie szczęście - podsumowuje pani Lucyna.

KATEGORIA POKOLENIOWA: KOBIETY DOJRZAŁE



MARYLA KRÓL
Kielce

- Powiem szczerze, że jeszcze to do mnie nie dociera. Nadal wydaje mi się, że to nie jest prawda. Jestem w totalnym szoku - przyznaje zdobywczyni tytułu Kobieca Twarz Roku Polski w kategorii Kobiety Dojrzałe. Wraz z tym tytułem Maryla Król zdobyła również nowoczesny samochód, który da jej przede wszystkim większą niezależność i ułatwi codzienne funkcjonowanie, jak mówi: - Nie będę już musiała cały czas prosić męża o podwózkę. Mieć coś swojego to wolność i niezależność.

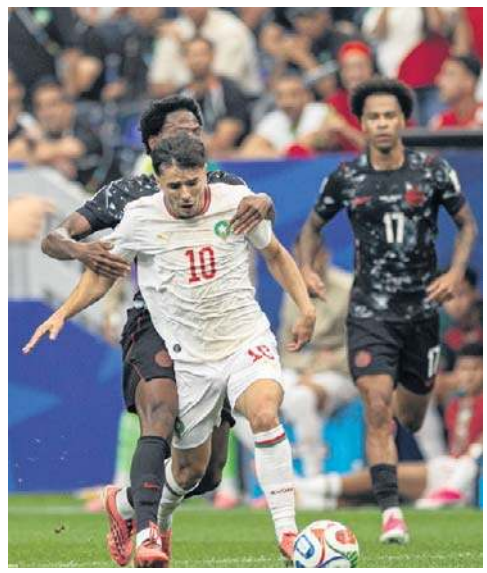
Dodaje jednak, że choć nagroda sprawiła jej ogromną radość, największą wartość ma dla niej coś zupełnie innego. - Osiągnięcie sukcesu na skalę kraju to jest coś wyjątkowego. To nie jest wygrana na loterii, a ogromne wyróżnienie. Proszę sobie wyobrazić, ilu trzeba mieć wokół siebie życzliwych ludzi, którzy oddadzą na człowieka swój głos. Świadomość, że jest się dla tylu osób ważnym to jest prawdziwy sukces - podkreśla. Choć dziś cieszy się z ogólnopolskiego wyróżnienia i głównej nagrody, droga do tego sukcesu nie była łatwa. Przez lata wielokrotnie musiała udowadniać, że potrafi podnieść się po najtrudniejszych życiowych doświadczeniach. Sama podkreśla, że wszystko, co osiągnęła, wypracowała własną determinacją. Jednym z najboleśniejszych momentów była kradzież całego towaru sprowadzonego do sklepu z Tajlandii. - Towar został rozpakowany, ale jeszcze nie trafił do sprzedaży. W nocy podjechali złodzieje ciężarówkami i praktycznie wszystko wywieźli - wspomina. Konsekwencje były dramatyczne... Straciła dom, który był zabezpieczeniem kredytu. - Musiałam zaczynać od zera - dodaje.

Nie poddała się. Najpierw zajęła się handlem używaną odzieżą, a później odkryła świat antyków, który z czasem stał się jej największą pasją i sposobem na życie. Dziś to właśnie z nim jest związana, już ponad 30 lat. Jest cenioną ekspertką z zakresu ceramiki i biżuterii, prowadzi sprzedaż internetową, transmisje na żywo, bierze udział w aukcjach i występuje w programie „Łowcy Skarbów". Choć zawodowo osiągnęła wiele, największą siłę od zawsze czerpie z najbliższych. - Najważniejsza jest dla mnie rodzina. To nie ulega żadnej wątpliwości - podkreśla. Od 36 lat towarzyszy jej u boku również mąż, który jest dla niej ogromnym oparciem.

Więcej o akcji na www.polskanews.pl/kobiety

eprasa.pl df8e3d5e19













FOT. GRZEGORZ WAJDA - HOUSTON

W OBIEKTYWIE GRZEGORZA WAJDY. Dowodzona przez trenera Jesse'ego Marscha reprezentacja Kanady nie przyniosła wstydu kibicom. W konfrontacji z Marokiem górę wzięło jednak doświadczenie zespołu z Afryki. Półfinaliści mundialu sprzed 4 lat mieli też w składzie większe osobowości - błysnęli Ounahi i Rahimi oraz Brahim Diaz - dwiema asystami

1/8 finału na mundialu Azzedine Ounahi pierwszym od 24 lat Afrykaninem z dubletem w fazie pucharowej

Lwy Atlasu rozszarpały gospodarzy. Dopadły Kanadę po przerwie

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

W takich okolicznościach poznaliśmy pierwszego ćwierćfinalistę MŚ 2026 – Lwy Atlasu rozszarpały gospodarzy.

Maroko zameldowało się jako pierwsza ekipa w ćwierćfinale tegorocznych mistrzostw świata po golu Rahimiego i dublecie Ounahiego, który ożywił grę w drugiej połowie starcia z Kanadą (3:0).

Lwy Atlasu jednocześnie zostały pierwszą afrykańską drużyną, która po raz drugi z rzędu znalazła się w ćwierćfinale mistrzostw świata. Przypomnijmy, że cztery lata temu w Katarze dotarły aż do półfinału, gdzie musiały uznać wyższość... reprezentacji Francji, a następnie w meczu o trzecie miejsce przegrały nieznacznie z Chorwacją.

Kanada napędziła stracha Maroku

Po pierwszej połowie w Houston w starciu z Kanadą dość mocno zanosiło się jednak na sensację. Marokańczycy długimi fragmentami bili głową w mur i mieli przede wszystkim problem ze zbliżeniem się do pola karnego dobrze ustawionych oraz znacznie lepiej zorganizowanych podopiecznych selekcjonera Jessego Marscha.

Współgospodarze tegorocznego mundialu (razem z USA i Meksykiem) lepiej weszli w spotkanie 1/8 finału i byli nawet bliżsi zaskoczenia Lwów Atlasu, którzy w poprzedniej rundzie po rzutach karnych sensacyjnie wyeliminowali reprezentację Holandii. Już w 4. minucie napastnik Jonathan David niepotrzebnie zwlekał ze strzałem i skończyło się tylko na nagrodzie pocieszenia w postaci rzutu rożnego.

Sześć minut później błąd przy wyprowadzaniu piłki popełnił Neil El Aynaoui, dzięki czemu w dogodnej sytuacji znalazł się Tani Oluwaseyi. Świetnie zachował się jednak bramkarz Maroka Yassine Bounou, który instynktownie obronił uderzenie nogą i utrzymał swój zespół w grze. Ponadto drużyna z Afryki szybko poniosła ważną stratę – w 22. minucie boisko musiał opuścić kontuzjowany Ismael Saibari, którego zastąpił Soufiane Rahimi. To było bardzo poważne osłabienie ekipy Mohameda Ouahbiego, bo w fazie grupowej napastnik zdobył trzy bramki i był jednym z kluczowych zawodników w ofensywie.

Z każdą minutą niżej notowani w rankingu FIFA ludzie Marscha zyskiwali przewagę, jednak po zmianie stron Marokańczycy wrócili do swoich ustawień fabrycznych i wrzucili wyższy bieg, skutecznie punktując rywali. – Jestem naprawdę dumny z naszych chłopaków – mówił po meczu selekcjoner Kanady Jesse Marsch. – Byliśmy lepszą drużyną. Oni wykonali o kilka akcji więcej od nas, ale problemem nie była intensywność. Mieli trochę więcej jakości w ostatniej tercji boiska, a nam zabrakło zdolności do rozegrania decydującej akcji – ocenił na gorąco podczas pomeczowej konferencji. Co istotne, Kanadyjczycy musieli walczyć bez swojego lidera Alphonso Daviesa z Bayernu Monachium, który w całym turnieju rozegrał tylko 15 minut z Republiką Południowej Afryki. Lewy obrońca w marcu zerwał więzadło krzyżowe w kolanie.

Reprezentacja spod znaku klonowego liścia pierwszy raz awansowała do fazy pucharowej i odniosła pierwsze zwycięstwa w mistrzostwach świata. W grupie B zremisowała z Bośnią i Hercegowiną 1:1, wygrała z Katarem 6:0 i przegrała ze Szwajcarią 1:2. W 1/16 finału pokonała RPA 1:0.

Historyczny dublet rozgrywającego

Druga odsłona zaczęła się znakomicie dla Lwów Atlasu, które w 50. minucie objęły prowadzenie. Achraf Hakimi wykonał rzut wolny z prawej strony, ale zamiast dośrodkowania zagrał płasko przed pole karne do pozostawionego bez opieki Azzedine'a Ounahiego, który technicznym uderzeniem pokonał Maxime'a Crépeau.

W 82. minucie Ounahi zdobył swoją drugą bramkę. Spory w tym udział miał Brahim Díaz, który po kontrze idealnie obsłużył partnera podaniem w polu karnym.

Pomocnik Maroka został tym samym pierwszym afrykańskim piłkarzem od czasu Senegalczyka Henriego Camary (mecz ze Szwecją w 2002 roku), z dubletem w fazie pucharowej. 180 sekund później rywali mógł pognębić jeszcze Rahimi, ale piłka po jego główce zatrzymała się na poprzeczce.

Ostatecznie Rahimi przypieczętował zwycięstwo w doliczonym czasie. Marokańczycy wykorzystali rozluźnienie w szeregach obrony Kanady, przeprowadzili szybką kontrę, a kolejną asystę dopisał sobie też Díaz.

Kanada wywarła wrażenie. Rywale zagrali na najwyższym poziomie. Kluczem było wykorzystanie przestrzeni, którą nam zostawili

– Muszę przyznać, że Kanada zrobiła wrażenie. Rywale zagrali na najwyższym poziomie. Dla nas jednak to nie było zaskoczenie. W drugiej połowie potrafiliśmy wykorzystać przestrzeń, którą nam zostawili. To był klucz do sukcesu – podsumował selekcjoner reprezentacji Maroka Mohamed Ouahbi.

W ćwierćfinale mundialu zespół z Afryki zmierzy się z triumfatorem drugiego sobotniego spotkania 1/8 Paragwaj – Francja, w którym Trójkolorowi wygrali po trafieniu z rzutu karnego Kyliana Mbappé.

Ćwierćfinał Francja – Maroko zaplanowano na 9 lipca w Foxborough na Gillette Stadium. Początek meczu o 22:00 czasu polskiego.

©℗

NAJLEPSI STRZELCY MŚ 2026

7 goli - Leo Messi (Argentyna), Kylian Mbappé (Francja).
5 goli - Erling Haaland (Norwegia), Harry Kane (Anglia).
4 gole - Ousmane Dembélé (Francja), Vinícius Júnior (Brazylia), Ismad'la Sarr (Senegal), Mikel Oyarzabal (Hiszpania).
3 gole - Brian Brobbey (Holandia), Jonathan David (Kanada), Cody Gakpo (Holandia), Kai Havertz (Niemcy), Elijah Just (Nowa Zelandia), Johan Manzambi (Szwajcaria), Matheus Cunha (Brazylia), Ismael Saibari (Maroko), Deniz Undav (Niemcy), Yoane Wissa (Demokratyczna Republika Konga), Julian Quinones (Meksyk).
2 gole - Raul Jimenez (Meksyk), Azzedine Ounahi (Maroko)

eprasa.pl df8e3d5e19

1/8 finału na mundialu Paragwaj uprawiał żenadę, ale najgorszy był sędzia

FRANCJA ZAGRAŁA W BRUDNĄ GRĘ. W POTWORNYM UPALE...

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Pierwszą ćwierćfinałową parę mistrzostw świata utworzyły Francja i Maroko. Trójkolorowi awans wywalczyli w upale przeciwko nieczysto grającemu Paragwajowi.



FOT. PAP/EPA

Za nami naprawdę brudny mecz, w którym arbiter często musiał rozdzielać piłkarzy...

Oprócz Paragwajczyków pakować walizki może również sędzia z Uzbekistanu wskazywany na antybohatera widowiska.

Mecz rozgrywany w Filadelfii o godzinie 17.00 lokalnego czasu poprzedziły alarmujące sygnały od Amerykańskiej Narodowej Służby Meteorologicznej (NHS). Według jej przewidywań w czasie gry temperatura na stadionie bez dachu miała wynosić nawet między 40 a 46 stopni Celsjusza. Choć zmiany klimatu coraz częściej stawiają przed futbolem takie wyzwanie, to FIFA w przepisach nie zawarła dotąd żadnego punktu, który spowodowałby automatyczne przełożenie widowiska właśnie z powodu ekstremalnego upału.

W takich przypadkach posiłkuje się jedynie rekomendacją Międzynarodowej Federacji Związku Zawodowych Piłkarzy (FIFPro), uznającą 38 kresek za górną dopuszczalną granicę. Ostatecznie mecz odbył się planowo i z obligatoryjnymi dwiema przerwami na uzupełnienie płynów. Żar niemiłosiernie lał się z nieba przez pełne 90 minut gry, o czym przekonali się zwłaszcza kibice z nasłonecznionych trybun, szukający wytchnienia między innymi w strefach gastronomicznych.

Jaki to był mecz? Przede wszystkim brudny, jak mawia się w slangu piłkarskim. Paragwaj nie był w ogóle zainteresowany atakowaniem, a jedynie przerywaniem akcji piekielnie silnego w ofensywie faworyta. Argentyński selekcjoner La Albirroja - Gustavo Alfaro - tłumaczył później, że innej taktyki obrać nie mógł, skoro naprzeciw stanęli piłkarze walczący o Złotą Piłkę i rekordy wszech czasów.

Widowisko okazało się więc nieatrakcyjne. Francja długo nie mogła skruszyć paragwajskiego muru. Bogiem a prawdą, w pierwszej połowie nie stworzyła sobie klarownych sytuacji. Didier Deschamps już po godzinie wpuścił na boisko Desire Doue i to był strzał w dziesiątkę. Kilka chwil po wejściu 21-latek z PSG wywalczył bowiem jedenastkę, która okazała się decydująca dla losów tego spotkania. Do piłki podszedł Kylian Mbappe i strzałem w lewy róg bramkarza dogonił w klasyfikacji Lionela Messiego, zdobywając siódmą bramkę w turnieju i zarazem dziewiętnastą w historii swoich występów na mistrzostwach.



FOT. PAP/EPA

Po grze w kości, w którą „zabawiali się" Paragwajczycy, kapitan Francji zignorował gratulacje od bramkarza Gilla

- Paragwajczycy myśleli, że wyjdziemy w smokingach, będziemy kreować wyłącznie ładne akcje, ale nam brudna gra też nie jest obca. I jeśli trzeba, to potrafimy ubrudzić sobie ręce. Nawet w tym byliśmy od nich lepsi - wyznał Mbappe, któremu najwyraźniej rywale mocno zaszli za skórę. Gdy wybrzmiał ostatni gwizdek, kapitan Trójkolorowych zignorował gratulacje od bramkarza Orlando Grilla uznanego za MVP meczu.

Zdecydowanie najgorzej wypadł jednak sędzia. Ilgiz Tantashev z Uzbekistanu nie panował nad tym, co działo się na boisku. Faul na rzut karny dostrzegł dopiero przed monitorem VAR, oskarżając poszkodowanego - podobnie jak selekcjoner Paragwaju - o symulowanie. Choć Paragwajczycy grali ostro, to Uzbek nie ukarał ich ani jedną żółtą kartką. Francuski dziennik „L'Equipe" nazwał jego występ katastrofalnym i wystawił najgorszą możliwą ocenę - jedynkę.

- Nie wiedziałem, że można popełnić 30 fauli i nie zostać ukaranym - pieklił się Rayan Cherki wprowadzony na końcówkę. - Dostaliśmy trzy żółte kartki, podczas gdy Paragwajczycy popełniali faule, które nie były nawet karane - zauważył selekcjoner Didier Deschamps. I miał rację, bo choćby w doliczonym czasie uderzenie w twarz Julesa Kounde pozostało bez konsekwencji. W FIFA są oburzeni poziomem sędziowania. Tantashev może już pakować walizki.

Tymczasem Francuzi zbierają siły na kolejne wyzwanie - jeszcze większe. W nadchodzącym ćwierćfinale (9 lipca, czwartek, godz. 22) los skojarzył ich bowiem z Marokiem, które rozbiło Kanadę, a wcześniej po rzutach karnych wyeliminowało Holandię i w grupie zremisowało z Brazylią. To bez wątpienia największe wyzwanie dla głównego pretendenta, który w grupie miał to szczęście, że zagrał przeciwko drugiemu garniturowi Norwegii, by potem trafić - już w fazie pucharowej - na słabą Szwecję.

Francja ma dobre wspomnienia z Marokiem. Zmierzyła się z nim w półfinale mundialu w Katarze, który wygrała 2:0 po golach Theo Hernandeza i Kolo Muaniego.

FIFA holuje Argentynę? Wszystko na to wskazuje

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Prezydent FIFA Gianni Infantino nieroztropnie się wygadał. Po meczu 1/16 finału mundialu w wywiadzie dla oficjalnej strony FIFA oznajmił: „Dzisiaj cierpiałem z Argentyną".**

Szef światowego futbolu Gianni Infantino po meczu Argentyna - Wyspy Zielonego Przylądka w 1/16 finału mistrzostw świata 2026 powiedział reporterowi: „Dziś wieczorem cierpiałem z powodu Argentyny...". Ale natychmiast się zreflektował i dodał: „... ale jestem neutralny", dając do zrozumienia, że FIFA wspiera obie reprezentacje, po tym jak niemal przyznał, że chciał zwycięstwa Argentyny.

Argentyna odniosła ciężko wywalczone zwycięstwo 3:2 po dogrywce nad Wyspami Zielonego Przylądka i awansowała do 1/8 finału. Obrońcy tytułu o ćwierćfinał zmierzą się z Egiptem.

„Albiceleste" mają stosunkowo łatwą ścieżkę na tegorocznych mistrzostwach świata w porównaniu z niektórymi innymi faworytami turnieju.

Faza grupowa dla Argentyny była lekką rozgrzewką - w swojej grupie J „wylosowała" bowiem Algierię, Austrię i Jordanię, które do potęg światowego futbolu raczej nie należą. W fazie pucharowej natomiast trafiła na wspomniane już Wyspy Zielonego Przylądka. Następnie na swojej drodze spotka Egipt, który wyeliminował Australię, a Szwajcaria lub Kolumbia mogą być potencjalnym rywalem w ćwierćfinale.

W starciu z tymi wszystkimi wspomnianymi drużynami Argentyna wciąż pozostaje zdecydowanym faworytem. Dlatego nie będzie zaskoczeniem, jeśli obrońcy tytułu awansują przynajmniej do półfinału, gdzie dopiero trafią na wymagającego przeciwnika.

Francja, Hiszpania, Portugalia, Brazylia czy Anglia miały zdecydowanie trudniejsze zadanie, grając po drodze z czołowymi drużynami.

Droga Lionela Messiego do ugruntowania statusu „piłkarskiego boga" wydaje się niemal wolna od przeszkód, podczas gdy pozostali giganci będą musieli mierzyć się ze sobą nawzajem, co prawdopodobnie przełoży się na zupełnie inne statystyki.

Czy to sprawiedliwe?

Na domiar złego, sędziowie też pobłażliwie traktują „Albiceleste". Już na otwarcie turnieju wielkie kontrowersje wzbudziła decyzja polskiego arbitra Szymona Marciniaka, który po brutalnym wejściu Messiego w Algierczyka (nadepnął od tyłu łydkę Aissy Mandiego) nie pokazał Leo nawet żółtej kartki. W innej sytuacji pomocnik Alexis Mac Allister uderzył łokciem w twarz Ibrahimę Mazę, po czym Algierczyk upadł na ziemię, ale Marciniak pozostawał niewzruszony i nie ukarał Argentyńczyka.

Prezydent FIFA Gianni Infantino po meczu z Cabo Verde: „Dziś wieczorem cierpiałem z powodu Argentyny... ale jestem neutralny"

W spotkaniu z Wyspami Zielonego Przylądka kanadyjski sędzia Drew Fisher popełnił kilka błędów - wszystkie na korzyść Argentyny (choćby Messi zaatakował Lopeza Cabrala kolanem i korkami w kostkę, ale nie ujrzał kartki, podobnie Cristian Romero po brutalnym wślizgu w Larosa Duarte czy faulu bez piłki na Jamiro Monteiro w dogrywce).

Selekcjoner Lionel Scaloni pytany o faworyzowanie Argentyny na mundialu, oznajmił krótko: „To bzdura!". ©℗



FOT. EPA/PAP

Argentyńczyk Lisandro Marinez czuł się bezkarnie w walce o piłkę z Kabowerdeńczykiem Telmo Arcanjo

eprasa.pl df8e3d5e19

Biało-Czerwoni roznieśli Austrię. Dziś Holandia

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pi

Reprezentacja Polski koszykarzy zagra dziś w Krakowie ostatni mecz pierwszej fazy eliminacji mistrzostw świata 2027. Rywalem Biało-Czerwonych będzie Holandia.

W piątek, Polacy wygrali w Wiedniu z Austrią 123:77 (24:16, 29:12, 28:29, 42:20). Biało-Czerwoni (13. miejsce w Europie i 19. na świecie w rankingu FIBA) nie mieli najmniejszych problemów z pokonaniem niżej notowanego, na dodatek mocno osłabionego brakiem pięciu kluczowych koszykarzy rywala (33. w Europie i 65. na świecie). Nawet w sytuacji, gdy zagrali bez dwóch czołowych zawodników - naturalizowanych Amerykanów Jericka Hardinga i Jordana Loyda, którzy znakomicie prezentowali się w listopadowych i lutowych meczach eliminacji.

Już po dwóch minutach polski zespół wywalczył znaczącą przewagę: 8:0, którą po 10 minutach Polska powiększyła - nad, z osłabioną nieobecnością pięciu podstawowych koszykarzy, Austrią, w tym Sylvena Landsberga i 33-letniego Bogicia Vujosevicia, którzy byli liderami w Gdyni - do 11 „oczek" A w połowie wynik brzmiał 53:28. Biało-Czerwoni dobrze bronili i mieli przewagę pod tablicami (zbiórki: 22:14). W drugiej połowie, choć gospodarze walczyli ambitnie, sytuacja na parkiecie nie uległa zasadniczej zmianie. O przewadze naszej reprezentacji świadczyły wszystkie statystyki, a najbardziej ta wskazująca na punkty zdobyte z kontrataków - Polska 16, Austria 0.

W czwartej odsłonie trener Milicić oszczędzał siły liderów, dając więcej minut zmiennikom, którzy spisywali się równie dobrze jak koledzy. W tej kwarcie polski zespół zdobył aż 42 punkty. Podopieczni trenera Aramisa Naglicia, byłego zawodnika - wicemistrza olimpijskiego z Barcelony (1992), dwukrotnego mistrza Euroligi z Jugoplastiką Split (1990 i 1991), choć do końca nie odpuszczali, nie byli w stanie nawiązać wyrównanej walki.

Polacy wygrali walkę pod tablicami 38:22, mieli 30 asyst (rywale 18), w czym największa zasługa Kamila Łączyńskiego (7), który na parkiecie był tylko 13 minut. Biało-Czerwoni mieli tylko siedem strat, podczas gdy gospodarze 15 złych podań, oraz trafili aż 63 procent rzutów za dwa punkty i 61,5% za trzy punkty (16 z 26 prób). Cztery razy (w siedmiu rzutach) uczynił to Łukasz Kolenda, a wszystkie trzy trafił Przemysław Żołnierewicz.



FOT. PAP
Reprezentacja Polski koszykarzy zagra dziś w Krakowie z Holandią w el. MŚ

- Jesteśmy drużyną, która zawsze pokazuje serce i energię jako zespół. Graliśmy to, co sobie założyliśmy. Pokazaliśmy nasze DNA na parkiecie i będziemy to robić dalej. Jesteśmy trudnym rywalem dla wszystkich - powiedział po meczu selekcjoner reprezentacji Polski Igor Milicić.

- Jesteśmy bardzo zadowoleni i skupieni mocno na kolejnym celu, ostatnim w tym etapie eliminacji - spotkaniu z Holandią. Tworzymy grupę ludzi o silnych charakterach, twardo grających i lubiących walkę. To jest nasza największa przewaga. Będziemy gotowi na poniedziałkowe spotkanie - podsumował spotkanie kapitan polskiej drużyny Mateusz Ponitka.

Biało-Czerwoni prowadzą w tabeli grupy F z kompletem zwycięstw. Już po 4. kolejce zagwarantowali sobie udział w drugiej fazie kwalifikacji MŚ 2027, która rozpocznie się w sierpniu. Polscy koszykarze, którzy w MŚ uczestniczyli dwa razy (w 1967 roku piąte miejsce, a w 2019 ósme), pewni awansu do dalszej tury eliminacji Katar 2027 są de facto od marca.

Ich rywalami w drugim etapie będą zespoły z grupy E, z której awans wywalczyli już mistrzowie Europy i świata - Niemcy, Chorwaci i Izraelczycy. Na przyszłoroczne mistrzostwa świata w Katarze pojadą trzy najlepsze zespoły z sześciodrużynowej grupy.

Dziś w Krakowie o godz. 18 polscy koszykarze zmierzą się w ostatnim meczu I etapu z Holendrami. Warto przypomnieć, że w Hadze Biało-Czerwoni wygrali 85:83, choć przegrywali już 21 punktami.

©℗

Radosław Gilewicz: Francja, Hiszpania i Argentyna pokazują najlepszy futbol

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

O mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku rozmawiamy z Radosławem Gilewiczem, byłym napastnikiem reprezentacji Polski, piłkarskim ekspertem.

Za nami 1/16 finału mistrzostw świata. Największa niespodzianka to odpadnięcie Niemiec z Paragwajem?
Zdecydowanie tak. Paragwaj miał swoje problemy, źle rozpoczął mundial i nikt się nie spodziewał, że wyeliminuje akurat naszych zachodnich sąsiadów. Odpadła też Holandia z Marokiem, ale ten zespół ma swoją jakość i jak na razie prezentuje się bardzo dobrze, co pokazał także w 1/8 finału, eliminując bez problemów gospodarzy Kanadę.

W 1/8 finału nie brakuje emocji, spotkania rozgrywane są na coraz wyższym poziomie. Na które ostrzy pan sobie najbardziej apetyt?
Najciekawiej zapowiada się starcie Portugalii z Hiszpanią. W tym pojedynku stawiam na Hiszpanów. Owszem, zespół Cristiano Ronaldo zagrał dobry mecz z Chorwacją, ale ma swoje ograniczenia, a Hiszpanie, uważam, że już są gotowi. Jeśli trzeba przyspieszyć, to potrafią to zrobić. Prezentują niesamowitą piłkarską jakość. Oprócz Francji, która w pojedynku o ćwierćfinał pokonała Paragwaj, to najbardziej wyrównany zespół mistrzostw świata. Niespodziewanie sporo sił, by zagrać w ćwierćfinale musiała włożyć Argentyna, pokonując dopiero po dogrywce Republikę Zielonego Przylądka.

Największe jak dotąd rozczarowanie mundialu?
Turcja. Może nie spodziewałem się po tej drużynie nie wiadomo jak świetnych wyników, ale patrząc jak prezentowała się wcześniej, a także na to, że mają teraz generację młodych i zdolnych piłkarzy, to jest to na pewno największe rozczarowanie, jeśli chodzi o fazę grupową.

Wielkie gwiazdy na mundialu nie zawodzą. Gole jak na zawołanie strzelają Messi, Ronaldo, Dembele, Mbappe, Haaland czy Kane.
To jest niesamowite, że oni wszyscy biorą na siebie ciężar gry, pomimo że większość z nich ma za sobą ponad siedemdziesiąt meczów w zakończonym niedawno sezonie. Wszyscy grają na bardzo wysokim poziomie. Świetnie ogląda się Kyliana Mbappe, Michaela Olise oraz Leo Messiego. Można powiedzieć, że są nie do zatrzymania. Do tego grona dorzuciłbym jeszcze Ousmane Dembele. Mało kroków na boisku robi co prawda Erling Haaland, ale jest niesamowicie skuteczny. W świetnej formie jest też Vinicius Junior.



FOT. PAP
Francja w 1/8 finału pokonała Paragwaj. W ćwierćfinale zmierzy się z czarnym koniem mundialu - Marokiem

Dostrzega pan piłkarza, który dotąd nie był znany szerszej publiczności, a którego wartość rynkowa po mundialu pójdzie wyraźnie do góry?
Nikogo takiego raczej nie wymyślimy. Jest wiele zespołów i trudno wszystkich piłkarzy oglądać w akcji przez pełne dziewięćdziesiąt minut, ale jakiejś wielkiej gwiazdy poza tymi, które znamy, na razie nie udało się wykreować.

Która drużyna pokazała do tej pory najlepszy futbol? Kto jest faworytem do zdobycia tytułu?
Francja i Hiszpania to zespoły, które weszły na odpowiedni poziom, na który można było oczekiwać. Hiszpanie w spotkaniu z Austrią pokazali dużą jakość. Bardzo dobrze prezentuje się również Argentyna.

Kto zostanie królem strzelców?
Zapowiada się fantastyczny wyścig, ale ja postawię na Kyliana Mbappe, bo ma wokół siebie wielu kreatywnych piłkarzy.

Nowa formuła mundialu z udziałem aż 48 reprezentacji przypadła panu do gustu?
Wiele meczów nie było zbyt atrakcyjnych, emocji też bywało za bardzo mało. Widać jednak, że te reprezentacje, które nigdy nie grały na mistrzostwach świata, albo były bardzo dawno temu, bardzo się tym mundialem delektują i zaprezentowały się nieźle. Mam tutaj na myśli chociażby Republikę Zielonego Przylądka, która tak dzielnie walczyła z Argentyną, czy Demokratyczną Republikę Konga, zatem aż tak źle też nie jest.

Jak podobają się panu nowinki, jak chociażby dwie przerwy w meczu na nawadnianie?
To ma swój sens, ale tylko wtedy, gdy tak jak spotkanie Argentyny z Republiką Zielonego Przylądka jest rozgrywane w temperaturze dochodzącej do niemal czterdziestu stopni. W momencie jednak, gdy jest dwadzieścia stopni, to bez sensu, bo to nie jest koszykówka. Widzimy reakcje kibiców, także sami zawodnicy nie są z tego zadowoleni, choć trenerzy mogą wtedy dokonać jakichś korekt.

A w pełni okablowani sędziowie?
Z jednej strony mamy sędziów, którzy mają na sobie wiele różnych urządzeń, a brakuje mi u nich takiego ludzkiego wyczucia, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji. Coraz bardziej działają na zasadzie systemu i to jest chyba w tym wszystkim najgorsze. Nie może być też tak, że jeśli mamy do dyspozycji tak dużo technologii, to mimo wszystko zdarzają się sytuacje, że coś się zawiesiło jak w meczu Szwajcarii z Algierią, gdy chodziło o pozycję spaloną. To jest niedopuszczalne.

©℗

eprasa.pl df8e3d5e19

Tenis Świątek nie interesują już wyniki, a skupia się na odzyskaniu formy

MUSZĘ ODBUDOWAĆ SWÓJ TENIS

Agnieszka Bialik z Londynu
redakcja@polskapress.pl

Broniąca tytułu, rozstawiona w Wimbledonie z numerem trzecim, Iga Świątek, przegrała w 1/16 finału londyńskiego szlema z 32. w światowym rankingu z Filipinką Alexandrą Ealą 6:7 (9-11), 2:6.

Jaki to był mecz z pani punktu widzenia?
To był trudny mecz. Miałam wrażenie, że Alexandra grała odważniej w kluczowych momentach. W tie-breaku obie miałyśmy wiele szans, by wcześniej rozstrzygnąć seta na swoją korzyść, ale to nie poszło po mojej myśli. Mimo wszystko czuję, że zagrałam lepiej niż w Bad Homburg. Więc cóż, trzeba po prostu iść dalej.

Jak trudne pod względem mentalnym jest podniesienie się w drugim secie po przegraniu tak zaciętego tie-breaka w pierwszej partii? Czy miało to duży wpływ na wynik?
Myślę, że trudniej było mi mentalnie pogodzić się z tymi nieudanymi returnami przy wolnych serwisach. Muszę przyznać, że znacznie trudniej jest odebrać taki serwis niż ten standardowy. Wiem, że był wolny. Dokładnie wiem, jak piłka do mnie leci. To zupełnie inny rytm niż ten, z którym zazwyczaj mam do czynienia przy returnie. Jeśli chodzi o pierwszego seta – to była zacięta walka i wiem, że to trudne, gdy set trwa tak długo. Wiem, że jedna piłka w tę czy w tamtą stronę mogła wiele zmienić. Ale chciałam być w pełni obecna w drugim secie. Na początku popełniłam kilka niewymuszonych błędów. Potem miałam wrażenie, że ona serwuje coraz wolniej, a mnie coraz trudniej było te serwisy odbierać. To było dla mnie trudne do zaakceptowania.


FOT. REX FEATURES/EASTNEW

Iga Świątek: Trudno mi było znaleźć równowagę między szybkością a solidnością. Nie znalazłam jej i przegrałam

Porównując to do porażki w Paryżu – czy czuje pani, że zmaga się z tym samym problemem? Czy czuje pani, że zrobiła jakiś postęp?
Nie, nie sądzę, by to było to samo co w Paryżu. W Paryżu na pewno chodziło o to, że nie radziłam sobie dobrze z presją. Oddawałam strzały. Dziś chciałam być spokojniejsza i zagrać kilka piłek. Połowa tych returnów była niecelna. Straciłam wiele punktów. Może jak obejrzę mecz, zobaczę coś innego. Dla mnie dzisiaj chodziło bardziej o tenis. Cieszę się też, że wróciłam do gry w tie-breaku, a także po tym, jak przełamałam pierwszy set, bo czuję, że w Paryżu po prostu przegrałabym go w końcówce. Byłam tam, żeby walczyć. To nie wystarczyło. Na pewno mogłam zagrać trochę lepiej, ale ona też grała świetnie i wykorzystała swoje szanse i poszła na całość. W tie-breaku pamiętam, że było ciasno, pamiętam, że trochę zwolniłam, ale ona była na tyle odważna, żeby zagrać trochę szybciej. W Wimbledonie trzeba być odważnym, żeby wygrać te punkty. Ale muszę przyznać, że trudno mi było znaleźć równowagę między moją szybkością a solidnością. Nie znalazłam dziś tej równowagi i przegrałam.

Świetnie budowała pani akcje, a problemem okazywało się to ostatnie uderzenie...
Tak, czasem tak bywało. Nie potrafię wyjaśnić tych uderzeń ramą rakiety przy wolejach z powietrza. Zazwyczaj gram je dobrze. No cóż... Takie rzeczy się zdarzają.

Ostatnio mówiła pani, że jest zadowolona z procesu, jaki przechodzi, by odbudować formę. To dobra droga?
Szczersze mówiąc, wyniki przestały mieć dla mnie znaczenie. Byłam na nich tak bardzo skupiona, że trudno było tak dalej funkcjonować. Dlatego naprawdę staram się po prostu odpuścić. Nie osiągam dobrych wyników, więc nie będę ich od siebie oczekiwać, skoro ich nie ma. Nie jestem jeszcze na tym poziomie. Muszę zacząć pracę od podstaw i po prostu spróbować odzyskać mój tenis. ©℗

Kazimierska z rekordem Polski na milę w Eugene

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Klaudia Kazimierska zajęła czwarte miejsce i czasem 4.17,90 poprawiła rekord Polski w biegu na milę podczas mityngu Diamentowej Ligi w Eugene w stanie Oregon w USA.

Klaudia Kazimierska w znakomitym stylu pobiła rekord Polski w biegu na milę podczas rozegranego w sobotę (4 lipca) mityngu Diamentowej Ligi w Eugene. 24-letnia lekkoatletka rodem z Włocławka poprawiła wynik Angeliki Cichockiej sprzed dziewięciu lat.

„Cloud-ya" kapitalnie zaprezentowała się na tle światowej elity. W biegu rozgrywanym na legendarnym stadionie Hayward Field długo utrzymywała się w czołówce, a na finiszu popisała się świetnym przyspieszeniem. Na metę wpadła jako czwarta z czasem 4.17.90, lepszym o blisko dwie sekundy od rekordu kraju Cichockiej (4.19.58) uzyskanego w 2017 roku w Rzymie. Swój rekord życiowy Kazimierska poprawiła o niemal 13 sekund.



FOT. WOJCIECH ALABRUDZIŃSKI

Klaudia Kazimierska wyrasta na faworytkę do medalu mistrzostw Europy w Birmingham, 10-16 sierpnia

W emocjonującej końcówce Polka wyprzedziła między innymi wicemistrzynię olimpijską Australijkę Jessicę Hull oraz pokonała jedną z głównych rywalek w kontekście mistrzostw Europy, Brytyjkę Georgię Hunter Bell. Wynik Kazimierskiej mógł być jeszcze lepszy, gdyby nie została zamknięta po zewnętrznej stronie bieżni. Aby przesuwać się w stawce, musiała nadrabiać dystans.

Rywalizację w Eugene niespodziewanie wygrała Amerykanka Nikki Hiltz (4.17.49), przed Kenijkami Dorcus Ewoi (4.17.62) i trzykrotną mistrzynią olimpijską Faith Kipyegon (4.17.80). „Cloud-ya" do podium straciła zaledwie jedną dziesiątą sekundy. Jej wynik 4.17.90 jest siedemnastym czasem na milę w światowych tabelach i otwiera tegoroczne listy w Europie.

Trenująca na co dzień w Eugene na Hayward Field Kazimierska wyrasta na faworytkę do medalu nadchodzących mistrzostw Europy w Birmingham, które odbędą się w dniach 10-16 sierpnia. „KK" wywalczyła minima na dystansach 1500 i 800 metrów. ©℗

Ruszył Tour de France

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Słaby początek w Tour de France zaliczyli polscy kolarze. Najlepszy z Biało-Czerwonych Michał Kwiatkowski zajął zaledwie 73. miejsce w pierwszym etapie drużynowej jeździe na czas.

Michał Kwiatkowski (Netcompany INEOS) był wolniejszy w Barcelonie, gdzie zainaugurowali tegoroczną edycję Tour de France, od Vingegaarda o trzy minuty, a Kamil Gradek (Bahrain Victorious) dotarł do mety ze stratą czterech minut i 37 sekund, był 164. Najlepszy indywidualnie był Duńczyk Jonas Vingegaard, który został liderem wyścigu, drużynowo zwyciężyli kolarze ekipy Team Visma Lease a Bike. Tegoroczny Tour de France liczy 21 etapów. Zakończy się 26 lipca tradycyjnym finiszem na Polach Elizejskich w Paryżu.

Marczyk poza czołową „10" w Rzymie

Obrońca tytułu Mikołaj Marczyk zajmował 11. miejsce po sobotnim etapie w Rally di Roma Capitale, trzeciej rundzie rajdowych mistrzostw Europy. Prowadzi Włoch Roberto Dapra (obaj Skoda Fabia RS Rally2). W sezonie 2026 w kalendarzu ERC jest siedem rund. W niedzielę, już po zamknięciu naszego wydania odbyły się cztery odcinki specjalne. Czwartą rundą będzie Rajd Polski w dniach 24-26 lipca, który po raz pierwszy po ponad 20 latach odbędzie się nie na mazurskich szutrach, tylko na odcinkach asfaltowych na Śląsku.

Woryna bliżej tytułu

Kacper Woryna wygrał drugi z trzech turniejów finałowych indywidualnych mistrzostw Polski na żużlu. Drugie miejsce w zawodach w Bydgoszczy zajął Krzysztof Buczkowski, a trzecie Wiktor Przyjemski. Woryna zdobył komplet 18 punktów. Zawiódł zwycięzca pierwszego turnieju IMP z Torunia mistrz świata Bartosz Zmarzlik, który zajął dopiero 14. miejsce z zaledwie czterema punktami. Decydujące zawody cyklu odbędą się 15 sierpnia w Ostrowie Wielkopolskim. W klasyfikacji generalnej z 26 punktami prowadzi Woryna. Drugi jest Dudek - 22 oczka, a trzeci z takim samym dorobkiem Janowski. ©℗

Srebro i rekordy świata

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

WSPINACZKA SPORTOWA. **Dwa srebrne medale reprezentacji Polski i aż trzy rekordy świata - to najważniejsze wydarzenia w rozegranych w Krakowie zawodach Pucharu Świata we wspinaczce na czas.**

Indywidualnie druga była Natalia Kałucka. Taki sam wynik uzyskała podczas żeńskich sztafet, w których startowała ze swoją siostrą Aleksandrą Kałucką.

Zawody były wyjątkowe dla Aleksandry Mirosław. Nasza mistrzyni olimpijska z Paryża po sezonie kończy karierę, start w Krakowie był pożegnaniem z polską publicznością w PŚ. Po kwalifikacjach była duża nadzieja, że będzie to pamiętne rozstanie. Zajęła 2. lokatę, przegrywając tylko z Amerykanką Emmą Hunt. A w ścisłej czołówce eliminacji znalazły się jeszcze dwie Polki: 4. była A. Kałucka, 6. N. Kałucka.

Rozgrywane dzień później finały dostarczyły dużych emocji. Zmagania na aż czterech torach - zazwyczaj ustawiane są dwa - na krakowskim Rynku przyniosły i radość, i smutek. Atmosferę w fazie pucharowej podgrzała Hunt, w ćwierćfinale pobiła rekord świata, jako pierwsza kobieta w historii uzyskała czas poniżej 6 sekund - 5,99. Poprzedni najlepszy wynik należał do Mirosław (6,03 s).

Nasza mistrzyni dostała się do czteroosobowego finału, ale w nim popełniła błąd. Falstart wykluczył ją z rywalizacji. W powtórce nie poszło też faworyzowanej Hunt, ostatecznie była 3. Wygrała Desak Made Rita Kusuma Dewi z Indonezji (6,54), a polscy kibice mogli cieszyć się z 2. lokaty Natalii Kałuckiej (6,62). Start w Krakowie dla niej był prawie jak u siebie, pochodzi z Tarnowa. Jej siostra Aleksandra była ostatecznie 6.

Polki walczyły także w sztafetach. Kwalifikacje wygrały siostry Kałuckie, 3. w nich były Mirosław i Patrycja Chudziak. To zapowiadało emocje w fazie pucharowej. Pierwsza para awansowała do wielkiego finału, druga odpadła w ćwierćfinale. W bezpośredniej walce o złoto Chinki Yafei Zhou i Lijuan Den nie dały Kałuckim szans. Ponownie tego dnia pobiły rekord globu - 12,89 s (w półfinale miały 13,02).

W mieszanych sztafetach błysnęli wspinacze z USA. W drodze po zwycięstwo Hunt i Samuel Watson (zwyciężył indywidualnie, najlepszy z Polaków Marcin Dzieński był 35.) poprawili rekord świata - i to dwukrotnie! W półfinale uzyskali czas 11,00, w finale - 10,89. ©℗

eprasa.pl df8e3d5e19

MAGAZYN

SPORTOWY

TYDZIEŃ

Kylian Mbappe znów idzie na króla strzelców, a Trójkolorowi są głównym faworytem mundialu. Skruszyli mur, poradzili sobie z brutalami **STR. 21**



FOT. PAP/ EPA/SARAH YENESEL

Francja elegancja, żenada Paragwaju

PEWNI AWANSU KOSZYKARZE DZIŚ ZAKOŃCZĄ I ETAP KWALIFIKACJI MŚ **STR. 22**

Radosław Gilewicz: Hiszpania i Francja mają najbardziej wyrównane zespoły **STR. 22**

Korespondencja z Wimbledonu. - Muszę odbudować swój tenis - mówi Iga Świątek **STR. 23**

eprasa.pl df8e3d5e19